

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXVII ● NR 40 ● 30 IX 1984 r.
CENA 10 ZŁ



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

- JAK POMÓC SZKOLE?
z dyskusji w Klubie PRON
- Z DAMASZKU DO POLSKI
syryjscy goście Związku
- DO ZOBACZENIA W ANGLII!
na wspólnym obozie
- POSZUKIWANIA
z konkursu „Ja i młodzież”

Błędne jest mniemanie, jakoby matura i egzamin wstępny na studia w istocie sprawdzały to samo!

prof. dr hab.
TADEUSZ
WILOCH

NIE TYLKO O REKRUTACJI NA STUDIA

W tytule artykułu nieco rozszerzam zakres dysktuowanej dotąd problematyki. Tematem głównym konsultacji społecznych jest bowiem tylko rekrutacja na I rok studiów. Jednakże wraz z tym tematem nierzadko poruszane są inne problemy, zarówno gdy chodzi o uwarunkowania rekrutacji, jak i implikacje różnych rozwiązań. To było przecież nawet założone w opublikowanych zagadnieniach do konsultacji.

Gdyby konsultacje społeczne w związku z tymi zagadnieniami miały stać się tylko swoistym referendum w sprawie przyjęcia któregoś z proponowanych wariantów systemu rekrutacji na studia wyższe, to również w dużym stopniu musiałyby one dotyczyć funkcjonowania uczelni. Wszak nawet przy założeniu zniesienia egzaminu wstępnego i potraktowania matury jako wystarczającego i jedynego sprawdzianu wiedzy, umiejętności i uzdolnień akademic-

kich kandydatów na studia — przewidziano udział pracowników naukowych w egzaminach maturalnych. A to miałoby kolosalne znaczenie dla funkcjonowania uczelni wyższych.

Wyobraźmy sobie uczestnictwo pracowników naukowych uczelni wyższych przede wszystkim w 880 liceach ogólnokształcących dla niepracujących i w ponad 3200 średnich szkołach zawodowych dla niepracujących! A przecież należałoby uwzględnić również ponad 300 liceów ogólnokształcących i około 2000 średnich szkół zawodowych dla pracujących. Co najmniej z tylu szkół średnich arbiturzeni mają prawo co roku przystępować do egzaminów maturalnych. I znaczna część, jeśli nie więk-



Fot. Marek Suchecki

SZLI NA ZACHÓD...

WSZYSCY UCZYĆ SIĘ CHCIELI

Piosenki o nich śpiewali, filmy kręcili, legendy układali. Że szli na Zachód osadnicy, że prawo i pięść, że złoto w ponie mieckich pałacach i majątkach. W starych kronikach można jeszcze raz obejrzeć jak szli, jechali. W towarowych wagonach, iedwo mieszczących cały dorobek, na wozach ciągniętych przez wychudzone szkapiny. Szli na piechotę, przy obładowanym, zdobycznym rowerze. Szli, szli, szli. Wyblakłe, porwane filmy, a w nich wędrowka ludów. Nasz rodzimy dziki zachód i mo-

zolne jego zdobywanie. Romantyzm pierwszych miesięcy i gorzka prawda mordęgi „na nowym”. Więc miny i strach przed wejściem na pole, by rzucić pierwszą garść zboża pod nowy plon. Więc węzełek z ziemią zza Buga i trud przesadzania starych drzew. I jeszcze żal łąk dziecińczych lat i niepewność, jak też to będzie na nowym.

★

Który to już raz zaskakuje mnie pogmatwanie ludzkich ścieżek! Który to raz

Otwieramy nasze łamy dla ludzi, którzy budowali oświatę, szkolnictwo i Związek na ziemiach odzyskanych. Będziemy się z nimi spotykać, rozmawiać, wspominać, po to, ażeby przybliżyć historię tamtych lat, postawy obywatelskie, społecznikowskie, owo wielkie zaangażowanie przede wszystkim w scalaniu tych ziem z Macierzą. Dziś jesteśmy w Zielonej Górze.

dy być może nawet kilka słów ze sobą zamienili, by rozejść się, nie wiedząc, nie przypuszczając nawet, że w gruncie rzeczy zmierzają w tę samą stronę.

★

Przeszła przez wszystkie etapy nauczycielstwa. Zawód zdobywała jeszcze w Wilnie, w tamtejszym seminarium nauczycielskim. Dobra to była szkoła. Dziś powiedzielibyśmy, że kształciła dwuzawodowo — nauczyciela i działacza kultury jednocześnie. Jej pierwsza praca — Kresy. By ją otrzymać, musiała wpięć przez kurs przysposobienia wojskowego dla kobiet. Taki był trend — przygotować wojskowo jak najwięcej ludzi. I taki warunek przed otrzymaniem etatu. Skończyła



KRONIKA

(od poniedziałku
do niedzieli)

● STANOWISKO ZNP W SPRAWIE PODRĘCZNIKÓW

12 bm ZG ZNP przekazał wicepremierowi M. F. Rakowskiemu stanowisko w sprawie podręczników szkolnych (tekst stanowiska opublikowaliśmy w poprzednim numerze „Głosu”).

● W RADZIE SPOŁECZNO-GOSPODARZEJ

W dniach 17 i 18 bm odbyło się posiedzenie Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie. W czasie dyskusji nad raportem o procesie realizacji i rezultatach reformy gospodarczej w 1983 r. obecny był prezes Rady Ministrów, gen. armii Wojciech Jaruzelski. W toku dwudniowej debaty rada zaopiniowała: założenia CPR na 1985 r., sprawozdanie z realizacji programu oszczędnościowego oraz projekt ustawy o Przedsiębiorstwie Państwowym Polskie Linie Lotnicze „LOT”. W posiedzeniu uczestniczył wiceprezes ZG ZNP Jan Zaciura.

● NARADA PREZESÓW ZARZĄDÓW OKRĘGÓW

19 bm odbyła się narada prezesów Zarządów Okręgów ZNP. Omawiano najistotniejsze zadania Związków w bieżącym roku szkolnym oraz przebieg realizacji programu ZNP. Naradę prowadził prezes ZG ZNP, Kazimierz Piłat.

● WIZYTA PRZYJAŹNI

19 bm. w siedzibie ZG ZNP odbyło się spotkanie kierownictwa Związku z przewodniczącą Związku Pracowników Oświaty i Nauki Czechosłowacji, kol. doc. dr. Drahomirą Hanzlową. Omówiono różne aspekty współpracy związków nauczycielskich oraz możliwości jej intensyfikacji w najbliższych latach. Kol. Drahomira Hanzłowa złożyła też wizytę w siedzibie Federacji ZNP Szkół Wyższych i Nauki oraz odwiedziła ośrodek czasowo-uzdrowiskowy ZNP w Jachrance.

● W SEJMIE O PROBLEMACH OSWIATY

W dniach 19 i 21 bm. odbyły się posiedzenia komisji oświaty, wychowania i postępu technicznego. Omówiono założenia CPR na 1985 r., projekty ustaw o nowelizacji ustawy z 15 lipca 1961 o rozwoju systemu oświaty i wychowania oraz projekt ustawy o utworzeniu Komitetu d/s Postępu Technicznego i Wdrożeń. W posiedzeniu komisji uczestniczył m. in. prezes Kazimierz Piłat.

● NARADA KURATORÓW OSWIATY I WYCHOWANIA

W dniach 20 i 21 bm. odbyła się w Żaganiu wspólna narada kuratorów oświaty i wychowania oraz dyrektorów ODN. Przedmiotem narady była ocena realizacji zarządzenia MOiW o stopniach specjalizacji zawodowej, funkcjonowania systemu doradztwa pedagogicznego, zadania w zakresie ruchu postępu pedagogicznego. Minister oświaty i wychowania omówił główne zadania resortu oświaty na rok szkolny 1984/85. W naradzie uczestniczyli m. in. wiceprezes ZG ZNP, Jan Zaciura oraz zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR, Władysław Kata.

● PLENUM KRAJOWEJ RADY KFIT ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZNP

21 bm. odbyło się posiedzenie plenarne Krajowej Rady Kultury Fizycznej i Turystyki ZG ZNP. Omawiano stan szkolnej kultury fizycznej i turystyki. W posiedzeniu uczestniczyli przedstawiciele GKKFiS oraz Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Rada przyjęła stanowisko w sprawie wychowania fizycznego i powołała zespół d/s nauczycieli wf.

● PROBLEMY KSZTAŁCENIA I WYCHOWANIA MŁODZIEŻY

22 bm. odbyło się Plenum KW PZPR w Łodzi. Przedmiotem obrad były zadania wojewódzkiej organizacji partyjnej w kształceniu i wychowaniu młodzieży. W posiedzeniu uczestniczyli m. in.: wicepremier M. F. Rakowski; kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR, prof. Bronisław Ratus; prezes ZG ZNP, Kazimierz Piłat oraz prezes ZO ZNP w Łodzi, Wiesław Mordal.

DZWOŃCIE DO NAS

OGŁASZAMY CZYTELNICZY WTÓREK

Czekamy Na Wasze telefony w sprawach trudnych, interwencyjnych.

Dzwoncie, kiedy macie problemy natury prawnej.

Dzwoncie do nas w każdej sprawie. Pochwalcie się Waszymi sukcesami. Proponujcie tematy.

Nasz telefon 26-10-11 w. 265 czynny jest w każdy wtorek od godziny 10.00 do 14.00

NARÓD-SZKOLE

ZADANIE

DLA WSZYSTKICH I DLA KAŻDEGO

Inicjatywie Narodowego Czynu Pomocy Szkole „Głos” towarzyszy od chwili jej narodzenia się wiosną tego roku. Wielokrotnie informowaliśmy tak o postępach nad tworzeniem jej programowych i organizacyjnych ram, jak o działaniach podejmowanych w całej Polsce — w województwach, poszczególnych gminach oraz szkołach. Hasło rzucone bowiem przez Radę Krajową PRON, zrodziło się ze zsumowania wielu mniejszych i większych inicjatyw w terenie i stanowi odpowiedź na społeczne zaniepokojenie sytuacją oświaty. Dziś prace nad nadaniem tej inicjatywie określonych form organizacyjnych dobiegają końca; wkrótce zostaną przedstawione rządowi wnioski w tej sprawie. Ci, co już realizują określone prace na rzecz swoich szkół, liczą, że uchwała Rady Ministrów stworzy im odpowiednie warunki do działań.

Tym ważniejszą sprawą staje się więc obecnie zbieranie wszelkich pomysłów i wniosków na rzecz kierunków i form podejmowanych przez społeczeństwo prac na rzecz swojej szkoły. Od początku narodzenia się tej inicjatywy głośno bowiem formułowano, iż nie ma to być głównie czyn na rzecz budowy szkół, a powszechne działania, którego celem jest zmiana obecnego modelu szkoły w kierunku społecznie pożądanym; budownictwo nowych obiektów jest tylko jednym z elementów tych działań. Niezbędny — ale ani głównym, ani jedynym. Stanowić ma ono jeden ze składników narodowego czynu o tyle tylko, o ile nowoczesna, lubiana przez dzieci, nauczycieli i rodziców szkoła nie może być przecież rudera. Przewiduje się więc, że nowych obiektów w 10-lecie zostanie wzniesionych około 2300.

Tydzień temu zamieściliśmy w „Głosie” list do dyrektorów szkół i przewodniczących komitetów rodzicielskich, podpisany przez przewodniczącą grupy inicjującej, prof. Zbigniewa Gertycha i ministra Bolesława Faronę. Apelują oni o gromadzenie i zgłaszanie terenowym ogniwom PRON wszelkich wniosków, dotyczących pożądaných form społecznej pomocy określonym szkołom. Przed kilku dniami w Klubie Dyskusyjnym PRON w Warszawie odbyło się spotkanie, poświęcone temu tematowi. Uczestniczyli zainteresowani członkowie RK PRON, nauczyciele, działacze oświatowi, związkowi i społeczni. Podniesione w dyskusji problemy przedstawiamy w nadziei, że pomoże to nauczycielom organizować podobne dyskusje w swoim środowisku, budzić i ukierunkowywać inicjatywę rodziców, środowisk i zakładów opiekuńczych. Gdyż bez udziału najaktywniejszych społecznie, najbardziej twórczych i zaangażowanych nauczycieli, nie można sobie wyobrazić rozwoju narodowej inicjatywy.

Generalną — niejako — próbą społecznego zaangażowania w sprawy oświaty ma się w tym roku stać Dzień Edukacji Narodowej W przededniu, w wolną sobotę, proponuje się zorganizować prace społeczne na rzecz swojej szkoły. To swojej jest tu bardzo ważne; narodowy czyn pomocy szkole nie może stać się bowiem fasadową działalnością na rzecz oświaty w ogóle, kolejnym świadczeniem na rzecz państwa. Podstawowym zadaniem organizatorów czynu jest więc tworzenie warunków do takiego organizowania inicjatyw, takiego ich budzenia i ukierunkowywania jakie dyktują potrzeby danej szkoły.

(„Pomoc szkole to nie pomoc państwu, a swojemu dziecku, stwarzanie mu jak najlepszych warunków do nauki, wszechstronnego rozwoju. Takiego rozwoju, by wyrosło na człowieka mądrego, zdrowego, wykształconego, umiającego sprostać wszystkim zadaniom, jakie postawi przed nim życie we współczesnym świecie”. — Z głosów w dyskusji).

Potrzeby oświaty — oprócz tych najbardziej znanych i widocznych, a dotyczących bazy — są w różnych dziedzinach o wiele mniej eksponowane, choć nie mniej dotkliwe. Tu — nim przytoczę wskazujące w dyskusji kierunki działań — warto przypomnieć, że rząd działał w maju program dofinansowania oświaty do 1995 roku; przewiduje on coroczne zwiększenie wydatków z rezerwy centralnej, przeznaczonych na inwestycje w naszym resorcie.

Ale wracając do dyskusji. Wskazywano w niej na potrzeby szkoły w dziedzinie pomocy w działalności wychowawczej, organizacji czasu wolnego, prowadzenia kółek zainteresowań. Szkoła się nam zbiurokratyzowała, skostniała, potrzebne są zmiany w samym jej funkcjonowaniu — jest to społeczne, powszechne odczucie.

(„Zrobiliśmy fetysza z realizacji programu; niemała w tym zasługa administracji oświatowej. W rezultacie nauczyciel zaczął pracować »pod kontrolę«. A to znaczy, że na odległy plan zeszyły sprawy wychowawcze, kontakty z otoczeniem, problematyka regionu. Trzeba teraz przywrócić rangę tym zadaniom, a tego nie da się zrobić bez udziału ludzi z zewnątrz, ich społecznego udziału”.

„Byłem w szkole w NRD. Tam zajęcia pozalekcyjne i w dni wolne od nauki obejmują prawie wszystkich uczniów i tylko jedną trzecią z nich prowadzą nauczyciele. Pozostałe dwie trzecie prowadzą albo pracownicy zakładu opiekuńczego, albo rodzice, specjaliści i hobbyści”. — Z głosów w dyskusji).

Wielu dyskutantów mówiło o zaniebaniach w dziedzinie szeroko pojętej opieki nad dzieckiem. Dożywianiem obejmujemy w Polsce, na przykład, tylko 27 proc. uczniów, którzy przecież w szkole spędzają wiele godzin, a zajęcia są często tak zorganizowane, że dziecko nie ma czasu nawet na zjedzenie suchej kanapki, którą przyniosło z domu. W takich razach winna wkrócić kontrola społeczna, nacisk opinii i środowiska. Jednak najważniejsza jest ilość wydawanych posiłków. Szkoły nie zawsze mają na to wpływ, bo nie mają warunków: czy więc nie czas, by organizować nacisk społeczny w kierunku przejmowania działalności gastronomicznej w placówkach oświatowych przez wyspecjalizowane przedsiębiorstwo.

Obserwujemy także zgranie ze sobą różnych działań. Ileż to razy buduje się w szkole zaplecze gospodarcze, do którego nie mieszczą się później urządzenia kuchenne, produkowane przez przemysł? Zresztą i to zaplecze jakże często wznosi się nie pamiętając o tym, że dzieci spędzają w szkole wiele godzin, uczą się na kilka zmian. Z chwilą, gdy wpuścimy szeroko do szkoły rodziców, stworzymy im warunki do uczestnictwa w życiu szkoły, wiele problemów, np. z dowożeniem dzieci do szkoły, zaopatrzeniem materiałowym, wieloma codziennymi trudnościami zostanie

● Rada PRON ziemi gubińskiej podjęła starania o przekazanie czasowo hotelu „Nysa” w Gubinie Szkole Zbiorczo-Gminnej. Hotel ten, zarządzany przez „Lubtour”, jest wykorzystywany zaledwie w 30 proc. Jednocześnie uczniowie i nauczyciele miejscowej szkoły pracują w warunkach urągających wszelkim zasadom zdrowotnym. Do chwili stałego rozwiązania trudności lokalowych miejscowego szkolnictwa, w ten sposób miejscowe społeczeństwo pragnie przyjąć z pomocą swojej szkole.

● Ogólnowojewódzki Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole w Łomży wydał plakat z apelem do wszystkich mieszkańców ziemi łomżyńskiej. Komitet przedstawia w nim szczegółowe potrzeby szkolnictwa w zakresie bazy, apelując o uczestnictwo w budownictwie oświatowym. Prosi także zakłady pracy i prywatnych obywateli o wzięcie udziału w różnorodnych pracach na rzecz swoich szkół. Plakat kończy się hasłem: Nasze szkoły, nasze dzieci, czekają na pomoc. Nie zawiedź ich nadziei.

● Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Olsztynie poprowadzi w tym roku dwa cykle odczytów dla młodzieży szkolnej. Dla klas pierwszych pt. „Patroni olsztynskich ulic” i dla klas trzecich pt. „Jak kształtowała się świadomość narodowa na Warmii i Mazurach”.

● Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej w Działdowie i Rada Miejsko-Gminna PRON podjęły inicjatywę budowy szkoły podstawowej o 32 izbach lekcyjnych wraz z zapleczem. Prace rozpoczną się jeszcze w tym roku.

● Rada Łódzka PRON i kuratorium Oświaty i Wychowania zorganizowały konkurs dla szkół i placówek wychowawczych oraz opiekuńczych zakładów pracy. Komisja konkursowa będzie oceniać współpracę tych instytucji w dziedzinie ideowo-wychowawczej, kulturalno-oświatowej oraz pomocy zakładów pracy dla szkół. Celem konkursu jest zgromadzenie i upowszechnienie dobrych doświadczeń w tej dziedzinie. (Z meldunków, nadesłanych do RK PRON).

rozwiązanych niejako automatycznie. Bo któż nie zechce pomóc własnemu dziecku?

Z obecnością rodziców w szkole wiąże się jednak wiele skomplikowanych, często drażliwych spraw.

(„Szkoła nie lubi wtrącania się rodziców, krytyki z ich strony, nawet gdyby za tą krytyką miała iść pomoc z ich strony. Często więc rodzice w obawie, że zemści się to na dziecku — milczą. — Z głosów w dyskusji).

Zbliżone do zacytowanego stanowiska reprezentowało wielu mówców. Wskazywali, że czasem pogląd ten jest niczym nieuzasadniony w praktyce, a stanowi odbicie niskiego prestiżu szkoły w społeczeństwie. Jest to skutek zarówno kryzysu, który w oświacie zaczął się o wiele wcześniej, bo już w latach 1974—75 (wtedy to zaczęły się ciężka inwestycje oświatowych) jak i fali czarowniczącej wszystkie krytyki lat 1980—1981; w rezultacie wszystkie przejawy życia szkolnego zaczęły odcinać jako skrzywione, spotworniałe. Nawet, gdy nie znajdowało to pokrycia w znanej rzeczywistości, traktowano zjawiska pozytywne jako wyjątkowe, za prawdziwe uznając tylko opinie i oceny negatywne.

(„Zacząć trzeba nie od nawoływania do czynu, a od pokazania społeczeństwu prawdziwego obrazu szkoły — z jej możliwymi do naprawienia brakami, ale i z niekwestionowanymi osiągnięciami. To, że dziś jesteśmy wykształconym, oświeconym społeczeństwem to ogromna, nieprzemijająca zdobycz Polski Ludowej, zrealizowana przez polską szkołę. Narodowy czyn organizacyjny nie dlatego, że z naszą oświatą jest tak źle, a dlatego, że chcemy, żeby było lepiej. Każdemu zależy, żeby jego dziecku żyło się łatwiej — Z głosów w dyskusji).

Uregulowania wymaga — zdaniem dyskutantów — rola i miejsce komitetów rodzicielskich. Nie mogą to być ciała służące głównie składaniu podpisów pod różnymi rachunkami i oświadczeniami (a swoją drogą kto wymyślił, że np. żarówki kupowane dla szkoły, to nie żarówki dla ludności) i firmowania pociągnięć dyrekcji. Rzeczywista i formalna pozycja komitetów musi, w dobrze pojętym interesie oświaty, stać się taka, by ich członkowie byli ambasadorami potrzeb swej placówki w otoczeniu, zakładzie pracy, organizacjach społecznych. Szkoła powinna więc nauczyć się pracować z różnymi ludźmi, nie związanymi z nią formalnie, polubić ich udział w swych sprawach.

(„Szkoła nie lubi, znam to z doświadczenia, instruktorów harcerskich z zewnątrz. Dyrektor woli nie mieć u siebie człowieka, którego nie może uważać na radę pedagogiczną i ustawić — Z głosów w dyskusji).

W narodowym czynie na rzecz szkoły istniejący często stosunek między szkołą a otoczeniem, trzeba więc zmienić, gdyż celem tej obliczonej na dziesięciolecie kampanii jest stworzenie równoprawnych, partnerskich stosunków między placówkami oświatowymi a ich otoczeniem — przede wszystkim rodzicami. Kto zainicjuje tę zmianę — niewiele się liczy. Ważny jest efekt tych działań, których rezultatem będzie lepsza, lubiana przez dzieci, nauczycieli i rodziców szkoła, jak najlepiej spełniająca oczekiwania uczących się w niej i pracujących.

Zainteresowani w zmianach na lepsze są wszyscy. Już to samo stwarza warunki, w których czyn ma wszelkie szanse powodzenia. Rzecz w tym, by trafić do potencjalnych uczestników tego ruchu.

(„Nauczyciel, dobry nauczyciel, z radością wita ten rodzajcy się ruch. ZNP jest jego gorącym orędownikiem. Myślę, że ważne jest zaangażowanie się w Narodowy Czyn Pomocy Szkole całego ruchu związkowego. Nasz Związek podniósł tę kwestię na ogólnopolskim spotkaniu związkowców i będzie przekonywał do tej sprawy przy każdej okazji”. — Z wystąpienia wiceprezesa ZG ZNP Jana Zaciury).

Motywe, który wracał w wielu wystąpieniach, są również przeszłe, nie najlepsze doświadczenia czynów społecznych, gospodarowania wspólnym dorobkiem bez pytania o zdanie jego twórców, lekceważenie społecznych inicjatyw.

(„Jeśli społeczny komitet budowy szkoły przez dziesięć lat nie może wyprowadzić budynku z fundamentów, jeśli społecznym wysiłkiem wybudowany dom nauczyciela władze oświatowe sprzedają osobie prywatnej, to jak ludzi w tych miejscowościach namawiać do działań społecznych? Autorzy społecznych inicjatyw muszą mieć zawsze decydujący głos w stanowieniu, co się w przyszłości stanie z ich dorobkiem”. — Z głosów w dyskusji).

Tyle relacji z pierwszej — mamy nadzieję — dyskusji o kształcie i treściach Narodowego Czynu Pomocy Szkole; o zgłaszaniu wniosków i propozycji apeluje także list prof. Gertycha i Faronę. Podobną myśl wypowiedział na zakończenie tej wymiany poglądów prowadzący dyskusję wiceprzewodniczący RK PRON, prof. Miłkołaj Kozakiewicz:

Czy nie należałoby Narodowego Czynu Pomocy Szkole rozpoznać podobną dyskusją w każdej szkole, z nauczycielami i rodzicami...

MARIA KALIŃSKA

Z DAMASZKU DO POLSKI



Georgette Matar



M. Ali Jiblasui

Na zaproszenie ZG ZNP przebywała w Polsce delegacja Związku Nauczycieli Arabskiej Republiki Syryjskiej. Przewodniczył jej M. Ali Jiblasui, nauczyciel, od 25 lat działacz związkowy, członek kierownictwa Związku, a w skład delegacji wchodził ponadto: pani Georgette Matar, dyrektorka liceum w Latakii, członek ZG i Achmed Ballani, prezes okręgu Związku w Idlib. Syryjczycy zwiedzili nasz kraj, zapoznali się z programem i działaniem ZNP; pobyt uświetniło podpisanie porozumienia o współpracy obu Związków.

Syryjscy goście odwiedzili również redakcję „Głosu” (nie było wśród nich pana Achmeda Ballani, który nie zniósł pierwszego ataku polskiej jesieni i zachorował). W trwającej 2 godziny rozmowie goście interesowali się organizacją pracy w redakcji, problematyką podejmowaną na naszych łamach. My zadawaliśmy pytania o pozycję i działanie ich Związku, sytuację i pozycję nauczyciela, syryjski system oświaty. Pytaliśmy także o to, jaki jest ich odpowiednik naszego „Głosu”. Wszystko, oczywiście, z myślą o przekazaniu informacji Czytelnikom. Oto czego się dowiedzieliśmy.

O ZWIĄZKU NAUCZYCIELI ARABSKIEJ REPUBLIKI SYRYJSKIEJ

W dzisiejszym kształcie, jako jeden związek, zrzeszający wszystkich nauczycieli — także akademickich — istnieje on od 1970 roku. W latach 1960—1970 w Syrii były 3 związki, każdy skupiał nauczycieli jednego typu szkół (podstawowe, średnie, wyższe). W 1970 r. po zwycięskiej rewolucji, przeprowadzonej w kraju przez partię Baas — wszyscy nauczyciele zrzeszyli się w jednym związku, który w swym programie zapisał rozszerzenie działalności z czysto socjalnej (tak było w latach 60-ych) na obejmującą wszystkie problemy oświaty. Założenie to jest konsekwentnie wypełniane.

Można to np. zilustrować stosunkiem do kwestii kobiecej, charakterystycznej dla krajów kultury islamskiej. Dziś 100 proc. wychowawców w przedszkolach i 70 proc. nauczycieli w szkołach podstawowych stanowią kobiety. Rewolucja baasistowska jako istotny problem społeczny podjęła kwestię równouprawnienia kobiet. Związek więc działa na rzecz zwiększenia liczby kobiet w naszym zawodzie; szczególnie postuluje, by w szkolnictwie podstawowym uczyły wyłącznie kobiety. Ważne są również prace nad podnoszeniem poziomu kadry nauczycielskiej.

Zrzeszają 90 tys. nauczycieli i wychowawców ze szkół wszystkich typów — od przedszkola do szkoły wyższej — czyli tyłu, ilu ich jest w Syryjskiej Republice Arabskiej, gdyż przynależność do Związku jest obowiązkowa. Każdy członek płaci składkę w wysokości 3 proc. uposażenia.

Na czele organizacji stoi przewodniczący, p. Faez Alnasser, wybrany przez 51-osobowy Zarząd Główny, który wybiera również 9-osobowe Prezydium (zbiera się co tydzień). Zarząd Główny odbywa plenarne zebranie raz na pół roku, wysłuchując sprawozdań kierownictwa i wytyczając jego działalność. W ogóle struktura Związku jest zbliżona do naszej sprzed administracyjnej reformy kraju, a zarządy poszczególnych szczebli spełniają funkcję transmisji postulatów członkowskich z dołu do góry i transmisji zaleceń z góry na dół. Podstawowa komórka związkowa musi liczyć nie mniej niż 30 osób.

Związek prowadzi działalność międzynarodową, jest członkiem FIZE oraz Federacji Arabskich Związków Nauczycielskich. Utrzymuje również kontakty z narodowymi związkami, szczególnie stara się je zacieśnić ze związkami w europejskich i pozaeuropejskich krajach socjalistycznych. Wyrazem tej tendencji jest obecna wizyta.

O DZIAŁALNOŚCI SOCJALNEJ ZWIĄZKU

Osiągnięcia w tej dziedzinie są przedmiotem szczególnej dumy Związku, udało im się bowiem pozytywnie załatwić wszystkie sprawy podejmowane w tym zakresie, a społeczna rola nauczyciela jest szczególnie wysoko ceniona przez władze państwowe. Główne kierunki działalności socjalnej Związku — i na to też przeznaczają się gros dochodów związkowych — są następujące:

Ochrona zdrowia. Wobec nieistnienia systemu powszechnego leczenia społecznego, Związek wziął na siebie obowiązek pomocy w tym zakresie. Nauczyciel otrzymuje więc następujące świadczenia od Związku: zwrot 90 proc. kosztów pobytu w szpitalu (jeśli był to szpital państwowy — 100 proc.) a także 60 proc. ceny kupionych leków i 50 proc. opłaty za wykonane badania laboratoryjne. W ten sposób — uważają związkowcy — pomagają rządowi w rozwiązywaniu podstawowych problemów rozwijającego się państwa.

Problemy mieszkaniowe. Są u nich również nabrzmiałe, jak u nas, a Związek uczestniczy w ich rozwiązywaniu przez prowadzenie szerokiej akcji kredytowania budownictwa lub zakupu domów i mieszkań. Każdy nauczyciel może uzyskać długoterminowy, wysoki, nieoprocentowany kredyt mieszkaniowy. Kredyty takie są przyznawane co 3 miesiące, (p. Jiblasui tuż przed wyjazdem do Polski podpisał do wypłaty listę przyznanych kredytów — zamykała się ona sumą — w przeliczeniu — 4 mln dolarów). Tę swą działalność związkowcy traktują jako bardzo ważną,

gdź — tak uważają — dobrze pracować z uczniami oraz społecznie może tylko nauczyciel dobrze mieszkający.

Pomoc dla rodziny. Nauczyciele w Syrii wywodzą się prawie wyłącznie z najbiedniejszych grup społecznych — ich rodziny nie dysponują więc żadnym zabezpieczeniem materialnym w razie nagłego wypadku pracownika oświaty. Ta sytuacja stanowiła powód stałej frustracji i niepokoju o los najbliższych każdego nauczyciela. Związek więc rodzinie każdego zmarłego przed wypracowaniem emerytury nauczyciela wypłaca odprawę w wysokości nie mniejszej niż 3 tys. dolarów.

Również pomoc od Związku otrzymują ci, co przechodzą na emeryturę; ponieważ między otrzymaniem ostatniej pensji i pierwszej emerytury upływa jakiś czas — w tej przerwie wypłaty nauczyciel emeryt otrzymuje z kasy Związku.

Syryjscy związkowcy zaobserwowali również następujące zjawisko: po przejściu na emeryturę aktywność społeczna nauczyciela spada. Jest to skutek gwałtownego obniżenia się stopy życiowej całej rodziny (emerytura otrzymuje się po 33 latach pracy zawodowej w wysokości 75 proc. pensji). Ponieważ jest to sytuacja szkodliwa społecznie, zlecili swym ekonomistom pracę nad tym zagadnieniem; mają nadzieję, że te 25 proc. różnicy uda im się wyrównywać poprzez Związek.

Warto tu wtrącić kilka zdań o obiektach związkowych, które są imponujące. W każdym mieście wojewódzkim Związek dysponuje domem, w którym mieści się klub nauczyciela, hotel związkowy, sale do zajęć dydaktycznych, biblioteka itp. W Damaszku np. hotel nauczycielski w takim gmachu liczy około 200 łóżek. Powszechne jest także posiadanie w najpiękniejszych miejscowościach kraju ośrodków wypoczynkowych, znakomicie, nowocześnie wyposażonych. W Latakii nadmorska plaża należąca do nauczycieli jest najpiękniejsza, najlepiej utrzymana w całym tym kurorcie; kilka nowych ośrodków znajduje się w budowie lub jest rozbudowywanych.

O USTROJU SZKOLNYM

Bardziej przypomina on system francuski niż polski. Składają się nań:

— przedszkola, obejmujące dzieci w wieku od 2 do 5 lat;

— 6-letnia obowiązkowa szkoła podstawowa I stopnia (od 5 do 12 roku życia);

— szkoła podstawowa II stopnia (nieobowiązkowa);

— 3-letnia szkoła średnia (nieobowiązkowa), kończąca się zdaniem matury;

dze gminy i grupa byłych wychowanków szkół pedagogicznych w Siennicy.

Zebranych powitał dyr. Zespołu Szkół Zawodowych, Stanisław Marek, który szczegółowo zaznajomił zebranych z dziejami szkół pedagogicznych istniejących tu od 1866 do 1969 roku, a także omówił organizację i plan pracy zespołu szkół w bieżącym roku szkolnym.

Ważnym momentem było złożenie przez nowo przyjętych słuchaczy studiów nauczycielskich oraz uczniów pierwszych klas szkół rolniczych — przyrzeczenia.

Z kolei I sekretarz KW PZPR przedstawił stan szkolnictwa na terenie województwa, warunki pracy i bytu nauczycieli oraz brak w tym zakresie, podkreślając, że na decyzję — otwarcia tych szkół pedagogicznych wpłynął brak wykwalifikowanej kadry. Przyczynił się do tego także zjazd absolwentów byłych szkół pedagogicznych w Siennicy z 11 czerwca 1983 r.

— system studiów uniwersyteckich.

Zdobyczą rewolucji baasistowskiej jest powołanie szkolnictwa zawodowego, dziś niezwykle popularnego w Syrii oraz rozwój systemu stypendialnego. Nauka w szkołach zawodowych, do których przyjmuje się uczniów po ukończeniu różnych szkół, trwa przeważnie 3 lata.

O SYSTEMIE KSZTAŁCENIA NAUCZYCIELI

Kadry dla szkolnictwa podstawowego przygotowuje się w 2-letnich pomaturalnych szkołach. Nauczyciele szkół średnich muszą legitymować się ukończonymi studiami uniwersyteckimi, z tym, że sam dyplom podstawowego kierunku nie wystarcza. Kandydat na nauczyciela musi ukończyć dodatkowo roczne pedagogiczne studium podyplomowe; zapoznaje się na nim z pedagogiką, dydaktyką, psychologią itp. — Ja jestem właśnie absolwentką takiego studium, dodała pani Georgette Matar.

W czasie wakacji Związek organizuje trwające miesiąc kursy dla nauczycieli. Otrzymują oni na nich informacje o sytuacji politycznej i gospodarczej w kraju, zapoznają się z najnowszymi zdobyczami pedagogiki i metodyki. Kursy te są nieobowiązkowe, ale uczestniczą w nich praktycznie wszyscy nauczyciele.

O SYRYJSKIM ODPOWIEDNIKU „GŁOSU”

Ukazuje się on już prawie 20 lat, obecnie jest miesięcznikiem o nakładzie 15 tysięcy. Dociera do wszystkich organizacji związkowych. Wraz z rozszerzeniem problematyki podejmowanej przez Związek, i jego piśmo wzbogaciło swą zawartość. Tak jak dawniej poświęcając miejsce sprawom socjalnym, wprowadziło na swe łamy zagadnienia szeroko pojętej polityki oświatowej i funkcjonowania szkół oraz problemów zawodowych nauczycieli. Za szczególnie ważną dla środowiska uważają problematykę polityczną przez nie podejmowaną.

O PROBLEMACH POLSKICH

Związek i nauczyciele syryjscy wiedzą wiele o Polsce, z zainteresowaniem śledzą wydarzenia w naszym kraju. Z bólem i współczuciem przyjmowali wiadomości o naszych trudnościach, teraz cieszą się każdym przejawem stabilizacji w Polsce. Życzą nam, abyśmy jak najszybciej i najpomyślniej rozwiązali wszystkie nasze problemy.

Notowała: MARIA KALIŃSKA

Fot. MAREK SUCHECKI

POSTULAT ABSOLWENTÓW ZOSTAŁ SPEŁNIONY

POWRÓT DO SIENNICY

1 września 1984 r., w dniu rozpoczęcia nowego roku szkolnego odbyła się, w Zespole Szkół Rolniczych w Siennicy k.Mińska Maz. uroczystość otwarcia dwóch szkół pedagogicznych: 2-letniego pomaturalnego Studium Wychowania Technicznego i 6-letniego Studium Wychowania Przedшкольного. Decyzją tą Ministerstwo Oświaty i Wychowania uświetniło starania władz wojewódzkich oraz dążenia i pragnienia byłych wychowanków szkół peda-

gogicznych w Siennicy zrzeszonych w Kole Sienniczian. Przez otwarcie tych szkół nawiązujemy do dawnych i chlubnych tradycji zakładu kształcenia nauczycieli w Siennicy.

W uroczystej Inauguracji uczestniczyły władze województwa siedleckiego: I sekretarz KW PZPR, Jerzy Świdorski; wojewoda Janusz Kowalski; kurator oświaty i wychowania, Zbigniew Bany; miejscowe wła-

Młodzież przyjęta do studiów nauczycielskich powitał w imieniu Kole Sienniczian prezes Henryk Lętowski, gratulując im wyboru pięknego zawodu. Życzył im, by stali się godnymi następcami zasłużonych pedagogów, społeczników, krzewicieli oświaty i kultury, a także działaczy ZNP, którzy dawniej kształcili się w tych murach. Złożył też całej młodzieży ze szkół pedagogicznych, jak i rolniczych życzenia jak najlepszych wyników w nauce, a gronu nauczycielskiemu zadowolenia i pomysłowości w pracy.

Uroczystość zakończyła się częścią artystyczną w wykonaniu miejscowej młodzieży.

TEODOR KACZYŃSKI

KURS NA STABILIZACJĘ

Jeszcze dwa lata temu siedlecka Wyższa Szkoła Rolniczo-Pedagogiczna stała praktycznie w obliczu likwidacji. No bo jak inaczej rozumieć perspektywę wynikającą z ewentualnego zawieszenia rekrutacji na czterech z siedmiu reprezentowanych tu kierunków? Powód — słabość kadrowa, niedostatek samodzielnych pracowników naukowych. I właśnie dlatego resort szkolnictwa wyższego postanowił ograniczyć przyjęcia na pierwszy rok w tej szkole. Bez przesady powiedzieć można, że powiało grozą. Nie jest bowiem rzeczą przyjemną zamyslenie sobie, że pracuje się na niepewnym terenie. A tak właśnie myślało wówczas wielu pracowników podlaskiej uczelni. Niemalże trudno przyszło włożyć władzom szkoły, by przekonać pobliską stolicę, że nie tędy droga. Łatwo zamknąć, trudniej zaś odrobić straty. Także kadrowe. Te argumenty zdaje się przeważały. Uczelni — dano czas.

Minęły dwa lata, a jednak w rozmowach nadal pobrzmiewa nutka niepokoju. Dziś co prawda inna jest już pozycja szkoły, lepsze warunki jej funkcjonowania, niemniej osad chyba pozostał. Łatwo to odczuć komuś, kto składa tu wizytę pierwszy raz i zaczyna od „węszenia”, sondowania, a coś tu może w trawie piszczeć. No więc dla mnie „piszcza” właśnie reminiscencje wydarzeń sprzed dwóch lat. I ulga, że dziś jest co nieco inaczej.

— Przede wszystkim mamy więcej spokoju. Tego spokoju, który jest niezbędny by myśleć o stabilizacji, normalnych warunkach pracy. Wszystko wskazuje, że po latach wahań nareszcie uznano celowość istnienia szkoły w takim jej kształcie — słyszę w jednej z rozmów.

— Nareszcie zaczęły nam „wychodzić” inwestycje. A to oznacza, że poprawia się warunki kadry, że posiadanie przez WSR-P więcej miejsca może spełnić rolę magnesu przyciągającego do nas ludzi — podkreśla z kolei ktoś inny.

Wypowiedzi to charakterystyczne. No cóż, mimo zaledwie 15 lat istnienia uczelni (właśnie obchodzi okrągłą rocznicę), nie miała siedlecka szkoła szczęścia do „bezwawaryjnej historii”. Powstała na bazie istniejącej tu Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, a ta zaś w oparciu o Studium Nauczycielskie. Od złożenia pierwszego wniosku o powołanie jeszcze WSN, do inauguracji nowego roku akademickiego, upłynęły jeszcze dwa lata. I były to lata dość denerwujące dla siedlczan — projektodawców własnej wyższej szkoły. „W ówczesnym województwie warszawskim istniały cztery studia nauczycielskie — poza Siedlcami, w Grodzisku Mazowieckim, Ciechanowie i Płocku. Grodzisk, ze względu na swe położenie, nie był brany pod uwagę, jako siedziba wyższej szkoły nauczycielskiej, Ciechanów nie wykazał zainteresowania, natomiast Płock prawie równocześnie rozpoczął energiczne starania, pozyskując wielu zwolenników we władzach województwa, które wysunęły koncepcję zorganizowania w Siedlcach filii UW, natomiast WSN w Płocku. Ponadto w Siedlcach powstała grupa uważająca, że potrzebna tu jest wyższa szkoła techniczna, a nie nauczycielska. Koncepcja ta nie miała żadnych szans realizacji, ale jej pojawienie się skomplikowało sprawę”.

Nie bez powodu zacytowałem właśnie ten fragment dotyczący zabiegów o zlokalizowanie w Siedlcach uczelni (pochodzi on z wewnętrznego uczelnianego pisma „Verum”). Mam bowiem wrażenie, iż właśnie wtedy kształtowały się poglądy, które w latach następnych stały się przyczyną niektórych kłopotów podlaskiej szkoły. WSN powstała w lipcu 1969 roku, 5 lat później przemianowano ją na Wyższą Szkołę Pedagogiczną. A w 3 lata potem dokonano generalnego przemebrowania — zlikwidowany został wydział humanistyczny, dodano natomiast rolniczy. WSP przemianowano na Wyższą Szkołę Rolniczo-Pedagogiczną.

Nie były to jedyne kłopoty. Bo przedtem i potem pojawiło się jeszcze kilka koncepcji, na szczęście nie zrealizowanych. A to postulowano zamknięcie jednego kierunku, a to rozszerzenie naboru na inny itp. Swego czasu ta młoda uczelnia była traktowana jak, nie przymierzając, fabryka, od której wymaga się szybkiego przedstawienia produkcji, bo potrzeby życia województwa okazywały się być nagłe na tym czy innym „odcinku”. Tego jednak dziś nie chce się pamiętać w uczelni. Zam-

raz pierwszy wybrano go rektorem. W rozmowie z dziennikarzem mówi, iż przyszło mu rektorować w niełatwym czasie. Trudne miesiące 1981, niemniej skomplikowany 1982. Wspomniana już ewentualność zawieszenia przyjęć na cztery kierunki. A mimo to jest dziś optymistą.

— W tej chwili, jako uczelnia na dobru, mamy, jeśli nie wszystko, co potrzeba, to przynajmniej realną perspektywę, że będziemy to mieć w najbliższym czasie. Podstawowe bowiem trudności są już za nami — mówi rektor Forys.

Podobną w duchu i treści opinię wyraża także prorektor do spraw nauki, doc. dr hab. Romualda Jabłońska-Ceglarek. Jest to jej pierwsza kadencja. Podobnie jak większość pracowników naukowych wydziału rolnictwa przyszła do siedleckiej uczelni ze szczecińskiej Akademii Rolniczej.

— Nie mamy większych trudności, jeśli idzie o możliwości rozwoju naukowego — zauważa pani prorektor. Jej zdaniem można by zrobić w tych skromnych warunkach nawet więcej. Oby tylko ambicji nie zabrakło. Docent Jabłońska-Ceglarek sądzi, że powołanie właśnie tu, w Siedlcach, wydziału rolniczego było potrzebne. Region jest przecież typowo rolniczy. Potrzeba mu takiej placówki, która by nań promieniowała. Nowy wydział zaś z pewnością może pełnić taką rolę. Wszystko wskazuje, że ma on szansę być prężną naukową placówką. W tym roku jego rada wystąpiła do ministra nauki o przyznanie prawa nadawania stopnia naukowego doktora. W ciągu 6 lat, jakie upłynęły od powołania wydziału, który organizowany był całkowicie od podstaw, obronili prace doktorskie, tu przygotowane, dwie osoby, najbliższe dwie bronione będą jeszcze przed końcem tego roku. Tu także, w oparciu o badania prowadzone na miejscu, powstała niedawno pierwsza praca habilitacyjna. W sumie naprawdę całkiem dobre perspektywy — informuje pani prorektor.

Jeśli mam być szczery, to w rozmowach z prof. Forysiem i doc. Jabłońską-Ceglarek uderza mnie jedno — brak narzekań. Narzekań na warunki pracy, na niedostatek sprzętu, aparatury itp. W pewnej chwili zaczynam poważnie zastanawiać się, czy ów „brak braków” nie jest czasem zręczną grą mych rozmówców, grą prowadzoną za moim pośrednictwem z ministerstwem.

— Nie, to nie to. Po prostu uczelnia jest jeszcze młoda, sprzęt także. Po wtóre, trzeba szczerze przyznać, że o ile resort nie pomagał w inwestycjach, o tyle nie skąpił aparatury. Zbierana była nie tak dawno i jest jeszcze w pełni nowoczesna. A poza tym w Siedlcach zawsze dbano o te sprawy. Każdy senat szkoły miał za punkt ambicji zrobić wszystko, by wyposażenie w aparaturę było jak najlepsze — odpowiada mi rektor Forys.

— Po prawdzie nie było innej zachęty dla ludzi. Przyciągaliśmy ich właśnie tym. W efekcie mamy w WSR-P to wszystko, co najnowocześniejsze w krajach socjalistycznych. Nieco gorszy jest sprzęt z drugiego obszaru płatniczego, na to jednak nie sami poradzić nie możemy — słyszę w kolejnej rozmowie.

Kadry i inwestycje — w tej kolejności zapisałem najważniejsze problemy podlaskiej uczelni. WSR-P zatrudnia ogółem 685 pracowników, w tym 316 nauczycieli akademickich, 42 profesorów i docentów, 100 adiunktów i wykładowców ze stopniem doktora. Ale aż 56 nauczycieli pracuje tu tylko na pół etatu. Na pełnych etatach jest tu tylko 25 samodzielnych pracowników nauki. Potrzebnych jest zatem znacznie więcej, jeszcze co najmniej 10.

knęta karta niech będzie wreszcie zamknięta — mówi się tutaj.

Więc zamiast przedłużania tematu jeszcze jedna opinia. „Moim zdaniem należy wyodrębnić tu dwa zagadnienia. Pierwsze — to normalny, stopniowy rozwój uczelni — WSN i WSP — wzbogacanie potencjału materialnego i naukowego oraz prestiżu w środowisku. Drugie — to reorganizacja. Zamknięcie wydziału humanistycznego (filologii polskiej i rosyjskiej), ograniczenie liczby kierunków na wydziale pedagogicznym i tworzenie od podstaw wydziału rolniczego. Decyzja ta, moim zdaniem, była wyrazem polityki nie liczącej się ze stratami materialnymi, a co ważniejsze, moralnymi, zakłóciła harmonijny rozwój uczelni. Gdyby w 1977 roku do nieuszczerplonej szkoły dodano kierunki rolnicze, byłoby to jej umocnienie, a tak, to dopiero dzisiaj, po kilku latach wyrównuje ona poziom, jaki osiągnęła przed reorganizacją”. Tak ocenili owe brzemienne w skutki „przemebrowanie” prof. z WSR-P Jerzy Prószyński, w wywiadzie udzielonym „Verum” w czerwcu tego roku.

Nie dziwię się więc, gdy prawie w każdej rozmowie słyszę o potrzebie spokoju. Nie dziwię się także, gdy na moje pytanie, co obiecywał pracownikom podczas wyborów nowy rektor, słyszę jego odpowiedź:

— Niewiele. Przede wszystkim kurs na stabilizację. W ciągu poprzedniej kadencji zachowaliśmy uczelnię, a teraz trzeba ją umocnić. Innego programu nie miałem.

Jest to już druga kadencja prof. dr hab. Mieczysława Forysia. Podczas wyborów nie wystawiono mu kontrkandydata. W lutym, gdy uczelniana komisja wyborcza zbierała kandydatury, okazało się, że na siedem jednostek, które zgłosiły kandydatów, wszystkie typowały prof. Forysia. Spośród 43 elektorów, w których ręce złożono wybór rektora, 37 uczestniczyło w posiedzeniu wyborczym. 31 głosów otrzymał obecny rektor. Było to dość wyraźne opowiedzenie się i za jego osobą, i za tym lapidarnym programem. Jest znany w uczelni, pracuje tu od 1971 roku. W 1981 roku po



Fot. Czesław Górski

Czy zechcą przyjść? Czy niektórzy zechcą swą etatową „połówkę” zmienić na cały etat? To jest najważniejsze pytanie. Niewątpliwie liczyć będzie można na własnych „wychowanków”. Jedna praca habilitacyjna, już złożona, na ukończeniu druk trzech następnych, cztery przewody profesorskie w toku, dwa przewody kwalifikacyjne na stanowisko docenta. To już coś.

Już wkrótce otworzy się zresztą nowa droga przyciągania ludzi z zewnątrz, bo wreszcie „ruszyły” inwestycje. Kontynuuje się względnie kończy budowę czterech obiektów. Z początkiem nowego roku akademickiego wydział pedagogiczny powioleniem przejął nowy budynek. Następny będzie jeszcze w tym roku, a kolejny w przyszłym. Widać już fundamenty bloku dla „rolników”. Po kilku latach gnieźdzenia się w budynku po oświacie, pedagogika wreszcie przejdzie „na swoje”, w roku przyszłym poprawia się, i to znacznie, warunki wydziału chemiczno-matematycznego. Pojawia się trzeci DS, w budowie jest następny. Jeśli nie tak dawno uczelnia wynajmowała baraki po hotelu robotniczym, w których w jednym pokoju gnieździło się po sześć osób, to dziś spośród 1350 studentów stacjonarnych około 900 mieszka w akademikach i to bez przegęszczenia.

W sumie zatem — oby tak dalej. Jakby nie było — mocne na przyszłość argumenty. Tak przynajmniej ja to odbieram. Wybrałem się do Siedlec jednakże nie po to, by kogoś przekonywać, że w WSR-P wykorzystali czas lepiej czy gorzej. Przyjechałem tu przede wszystkim po to, by przyrzec się problemom, z jakimi boryka się mała uczelnia, jaką wywalczyła sobie pozycję w środowisku, na ile spełnia służebną rolę wobec swego regionu. Po części uzyskałem odpowiedź na niektóre pytania. Na pozostałe zaś znajduję informacje w dziale dydaktyki i wychowania, wśród liczb obrazujących rozmiary przyjęć na pierwszy rok.

Pierwsze, co zwraca uwagę, to zmniejszenie limitu miejsc — z 415 trzy lata temu do 286 obecnie. Drugie, że najwięcej miejsc utraciły kierunki... wydziału rolniczego. Prawie połowę. Zyskuje zaś wydział pedagogiczny. Zmniejszyła się także liczba kandydujących — z 707 osób w 1981 do 466 w bieżącym roku.

Ciekawa jest informacja, skąd pochodzą przyjęci w tym roku na studia. Okazuje się, iż zdecydowanie przeważają mieszkańcy siedleckiego i województw ościennych. Stanowią oni aż 65 proc. studentów pierwszego roku. Jeśli dodamy, że większość absolwentów WSR-P z reguły podejmuje pracę w miejscu swego zamieszkania (a takie wyniki uzyskano, badając ankietowo losy byłych słuchaczy szkoły), otrzymamy odpowiedź na pytanie, czym dla regionu jest „terenowa” uczelnia. A ponieważ także i na pytanie o sens istnienia małych szkół wyższych.

Mówiąc krótko, sprowadza się on do zatrzymywania ludzi na swoim terenie. Oczywiście, ponad tysiąc studentów wchłonęłyby zapewne uczelnie warszawskie. Ale czy by wówczas wrócili? A jeśli tak, to czy nie z poczuciem krzywdy, wygnania na prowincję? Właśnie o tym rozmawiam na zakończenie wizyty z rektorem WSR-P, Mieczysławem Forysiem. I muszę przyznać, że w tym miejscu zgadzamy się bez zastrzeżeń. Małe nie znaczy gorsze, małe nie znaczy niepotrzebne. Zresztą trudno by się nie zgodzić, mając takie dowody. Na marginesie dodać warto, że ostatnio uczelnia jest także pod naciskiem wewnętrznym. Oto bowiem radni wojewódzcy domagają się zwiększenia limitu przyjęć na kierunki pedagogiczne i nauczycielskie, a kuratorium oświaty i wychowania wystąpiło o... przywrócenie filologii polskiej. Niezależnie od tego trzeba będzie zacząć przygotowywać się do przyjęcia większej grupy na studia zaoczne — słyszę.

W tej sytuacji pytam, czy moim rozmówcom nie marzy się czasem ów wydział humanistyczny.

— Mam przed sobą jeszcze jedną kadencję i przede wszystkim muszę zrobić wszystko, by następcom pozostawić uczelnię ustabilizowaną. „Upięram się” więc przy tym, co mówiłem: — nic nowego nie zaczynać, póki nie umocnimy tego, co mamy. Moje marzenia są nadal takie same — mieć co najmniej 35 samodzielnych pracowników naukowych w uczelni oraz realizować inwestycje zgodnie z planem — podkreśla jeszcze raz rektor Mieczysław Forys.

Poza protokołem zaś mówiąc, marzy się i biblioteka główna, i kompleks sportowy z basenem, i wprowadzenie do planu następnego budynku dla pedagogiki. Wtedy może nastąpić ten wydział humanistyczny właśnie tu... Biblioteka uczelni byłaby wraz z tą miejską, publiczną, z basenu też miasto miałooby pożytek. Ale póki co, to pieśń przyszłości. Nie konkret, lecz wizja. Choć niewątpliwie piękna.



Fot. Marek Suhecki

NIE TYLKO O REKRUTACJI NA STUDIA

CD ZE STR. 1

szłość, z tego prawa rzeczywiście korzysta. A więc ile tysięcy profesorów, docentów i adiunktów należałoby oddelegować na dłuższe okresy (nie tylko w maju) do rozmaitych zakątków w kraju — do miast, osad i wsi, gdzie są przeprowadzane egzaminy maturalne! Chyba trzeba byłoby natenczas zawiesić wszystkie ważniejsze zajęcia w każdej uczelni wyższej. Zresztą, gdyby egzaminy maturalne z udziałem pracowników naukowych miały się odbywać, jak dotychczas, w prawie każdej szkole średniej, to znaczna część tych szkół musiałaby miesiącami czekać na przybycie właściwych profesorów, docentów i adiunktów, desygnowanych do uczestnictwa w egzaminach maturalnych. Iluż tych pracowników naukowych musiałoby niemal całkowicie poświęcić się egzaminowaniu maturzystów! A to miałyby ogromny wpływ na funkcjonowanie uczelni.

★

Nie mniej ambarasujące dla uczelni wyższych i pracowników naukowych byłoby połączenie egzaminu maturalnego i egzaminu wstępnego w jeden egzamin państwowy, zapewniający zarówno świadectwo dojrzałości, jak i zakwalifikowanie na studia. Jeśliby nawet w tym systemie egzaminu były jakoś skoncentrowane w uczelniach i w większych środowiskach szkolnych, to przeprowadzanie takich egzaminów, odpowiadających zarówno kryteriom maturalnym, jak i rekrutacyjnym, musiałoby się odbyć w każdym przypadku na funkcjonowaniu uczelni. A i tak nie skończyłoby się na samym egzaminie maturalnym, skoro przewidziano, że w uczelniach sprawdzono by uzdolnienia specjalne i zainteresowania.

Na poparcie tej koncepcji przytacza się pozytywne doświadczenia z innych systemów. Ale w porównaniach z tej dziedziny ignoruje się nie tylko to, że np. baccalauréat niezupełnie odpowiada naszej maturze, a zarazem jest znacznie mniej dostępny dla młodzieży ze środowisk prowincjonalnych, zwłaszcza robotniczych i chłopskich, a więc tych, w interesie których miałyby być w naszym kraju wprowadzane takie czy inne zmiany.

Z tych też powodów trzeba by zakwestionować rozwiązanie, polegające na zniesieniu matury i oparciu rekrutacji na studia wyższe wyłącznie na egzaminach wstępnych. Takie rozwiązanie przede

wszystkim zubożyłoby nasz system szkolny. Słusznie bowiem już nieraz zwracano uwagę na to, że błędne jest mniemanie, jakoby matura i egzamin wstępny na studia w istocie sprawdzały to samo. Matura podsumowuje pracę ucznia w szkole średniej i zorientowana jest na ocenę tego, co najważniejsze w wykształceniu ogólnym na tym poziomie. Nie przesądza sprawy przydatności maturzystów do studiów w takiej czy innej uczelni. Dając prawo ubiegania się o przyjęcie na studia, pozostawia do decyzji młodzieży, czy w ogóle zechce studiować, kiedy i na jakich kierunkach. To ważne prawo maturalna, czyli człowieka dojrzałego, którego dojrzałość stwierdza się w szkole średniej nie tylko na egzaminach końcowych, lecz i przed tymi egzaminami, przez dokonywanie także pewnej selekcji, jakiej w takim zakresie niepodobna dokonać w momentach rekrutacji na studia wyższe. Zresztą również ograniczone sprawdzanie dojrzałości kandydatów na studia wyższe, bez selekcji przedmaturalnej, musiałoby być dla uczelni i pracowników naukowych nader absorbujące i przynosić odczuwalne konsekwencje w funkcjonowaniu szkolnictwa wyższego.

A zatem, bez względu na rozwiązania w samej rekrutacji na studia wyższe nie należy rezygnować z matury, która może i powinna nie tylko przyczynić się do przygotowania kandydatów na studia wyższe, lecz i nobilitować wykształcenie średnie połączone z dojrzałością młodzieży. Porozumienie w tej sprawie leży w interesie szkolnictwa średniego i wyższego, a także samej młodzieży, która, oczywiście, nie zawsze jest tego świadoma. A korzyść dla młodzieży polega zarówno na tym, że większość abiturientów na egzaminach maturalnych ma pierwszą poważną próbę przed egzaminami na studia wyższe lub też do szkół policealnych, stawiających w wielu przypadkach również zwiększone wymagania, jak i na tym, że z maturą można iść w życie, aby potem — być może — połączyć studia z pracą zawodową lub zapracować sobie na skierowanie do uczelni z zakładu pracy. Chyba tylko kliwne ciotki, przejmujące się pozornymi stresami egzaminacyjnymi, będą nadal kwestionować egzaminy maturalne z tego powodu, że w kilka tygodni potem część maturzystów ma składać egzaminy wstępne?

Niektórym marzy się nie tylko zniesienie matury, lecz również oddalenie selekcji na studia wyższe przez wprowadzenie roku wstępnego, „zerowego”, o charakterze przygotowawczym, w wybranych uczelniach wyższych. W zagadnieniach do konsultacji społecznych ten sposób rekrutowania na studia wyższe został zgłoszony w wariantcie czwartym dla przodujących robotników, skierowanych przez zakłady pracy. I na to ostatecznie można się zgodzić, przynajmniej w takich przypadkach, gdy przed podjęciem właściwych studiów na niektórych kierunkach dla określonej grupy dotychczasowych pracowników będzie to rzeczywiście celowe lub wręcz konieczne. Ale tylko w wyjątkowych przypadkach, a nie tak powszechnie, jak sugerują ludzie nie liczący się z realiami naszej gospodarki i sytuacją w szkolnictwie wyższym!

Takie studia przygotowawcze, „zerowe”, prowadzone były kiedyś w Polsce i w innych krajach, gdy trzeba było umożliwić wstęp na studia wyższe młodzieży bez matury i bez wymaganego wykształcenia średniego. Podobne studia są też obecnie w Związku Radzieckim dla młodzieży, która uzyskała maturę po 10 lub 11 latach kształcenia, a po kilku latach pracy lub też służby wojskowej zasługuje na zakwalifikowanie do uczelni, ale niezupełnie jest przygotowana do podjęcia właściwych studiów. To co innego, niż po 12 lub 13 latach kształcenia, jak w Polsce. Ale nawet i w ZSRR, gdzie jest rozbudowane szkolnictwo wyższe, te studia przygotowawcze nie są masowe. Można też powątpiewać, czy będą rozwijane po przedłużeniu kształcenia w szkolnictwie powszechnym.

W naszym kraju, po stosunkowo długim kształceniu do matury, uzyskiwanej w wieku 19 lub 20 lat, a nierzadko też znacznie później, ustanowienie roku „zerowego” byłoby niesłuszne zarówno ze względów społeczno-ekonomicznych, jak i pedagogicznych. Dodatkowo, nadmiernie obciążałoby uczelnie wyższe, które przeważnie z trudem sobie radzą z wydłużonymi studiami, często przedłużanymi znacznie poza ustanowione okresy 5—6-letnie, a także z towarzyszącymi tym „studiom” takimi problemami socjalnymi, których by w zasadzie nie było, gdyby młodzież była przyjmowana we właściwym wieku, 18 lat, a studia były intensywniejsze, jak to jest w krajach wysoko rozwiniętych, a więc w zasadzie 4-letnie.

Doszliśmy chyba do kwestii kluczowej. Zamiast projektować przedłużanie okresu kształcenia w uczelniach wyższych przez dodawanie roku „zerowego” (dopuszczalnego może tylko w wyjątkowych przypadkach dla określonych grup pracowników, skierowanych przez zakłady pracy), należałoby zintensyfikować studia w okresie w zasadzie 4-letnim. Takie studia, po 12-letnim kształceniu do matury, bez „taryfy ulgowej”, mogą być z powodzeniem realizowane nie tylko w uniwersytetach i w innych uczelniach nietechnicznych, lecz i w politechnikach. (Mieliliśmy już niemało pozytywnych doświadczeń z tej dziedziny). To sprawa programu i organizacji studiów, a także wymagań, które powinny być nie tylko konsekwentnie stosowane na wszelkich studiach, lecz i powszechnie znane na długo przed uzyskaniem indeksu.

Reguły kwalifikowania młodzieży na studia wyższe trzeba potraktować jako epizod w całym systemie oświaty: od wychowania przedszkolnego do autentycznych studiów naukowych. Takie sugestie można wy dobyć zarówno z zagadnień do konsultacji społecznych w sprawie rekrutacji na I rok studiów, jak i z niektórych wypowiedzi dyskusyjnych. Słusznie! Nie można nadal godzić się z traktowaniem indeksu akademickiego na podobieństwo wygrzywania losów w loterii. Do autentycznych studiów wyższych młodzież powinna być odpowiednio przygotowana. Do studiów, a nie tylko do egzaminów wstępnych!

Wśród zagadnień do konsultacji na pierwszym miejscu wyróżniono „rolę szkoły średniej w kwalifikacji na studia wyższe”. Nie przywiązywałbym wielkiej wagi do tego, jak będzie się punktować wyniki ze szkoły średniej i na maturze. Ważniejsze jest kształtowanie pożądanego motywacji do studiowania, a nie tylko na dostanie się na studia wyższe.

Dotychczas jednak młodzież, nastawiona zwykle niemal przez cały okres licealny tylko na dostanie się na studia, rzadko ma okazję kojarzyć uczelnię z poważniejszymi obowiązkami studenckimi, nie sprowadzającymi się do odrabiania zadań od ćwiczenia do ćwiczenia i od egzaminu do egzaminu. Jeszcze rzadziej kojarzy te obowiązki z przygotowaniem się do pełnienia określonych funkcji w życiu społecznym. Zresztą również starsi nie stwarzają sytuacji odpowiednich do zrozumienia, iż studia to nie tylko przyjemność, lecz i obowiązki — coraz bardziej wzrastające i przedłużające się.

Zbyt często słychać rezonowanie, że studia powinny być wartością samą dla siebie, bez troski o perspektywy zawodowe i bez rygorów właściwych dla stosunków pracy w społeczeństwie! I jak fałszywie interpretuje się reminiscencje, że czas studiów dla wielu z nas był najwspanialszym okresem w życiu! W istocie bowiem różnie bywało, ale prawie nigdy nie było „laby”, jaką sobie wyobrażają, czy wręcz zakładają kandydaci na studentów i również przy-

jęć na studia. Przeciwnie, z sentymentem wspominamy nasze dawne studia przede wszystkim dlatego, że nie tylko dostawaliśmy się na nie z trudem, lecz i łączyliśmy je przeważnie z pracą na własne utrzymanie i z wieloraką aktywnością, która wykluczała gnuśność, a wzbogacała życie własne i zbiorowe.

★

Oczywiście, nie wszystkim studentom żyje się teraz lekko i bez kłopotów. Są i tacy, którzy zasługują nie tylko na duży szacunek za dzielne pokonywanie trudności życiowych. Potrzebna im też skuteczniejsza pomoc. Ale bez ryzyka można stwierdzić, iż na ogół łatwiej być studentem, niż dostać się na studia. Niewiele jest przesady i w takich opiniach z poszczególnych uczelni, że ze studiów w ogóle trudno odpaść. Kto został studentem, może przeżyć nieźle z takim statusem nawet 10 lat!

Szkoda, że nie podaje się do publicznej wiadomości statystyki wieloletniego „studowania”, jego przyczyn i kosztów społecznych. Ale przede wszystkim pożałowania godna jest naiwność tych, którzy dopuszczają do bezsensownego przedłużania zabawy w studiowanie. Nie stać nas na taką zabawę. Rzecz nie tylko w kosztach. Znacznie ważniejsze jest to, że ci, którzy przedłużają sobie studia, zajmują miejsca, brakujące „pechowcom”, którzy z różnych powodów przegrywają swoje losy w toku rekrutacji na studia wyższe. A nie mniej znaczące jest demoralizowanie ludzi na progu uczelni i w uczelniach sytuacjami stwarzającymi wrażenie, że na studia trzeba się tylko jakoś „załapać”, a potem trzymać się jak najdłużej.

Na ogół słusznie zwraca się uwagę na to, że nasza młodzież ma różne warunki startu szkolnego. Najoczywistsze bywa upośledzenie pod tym względem dzieci chłopskich, startujących w lichej, wiejskiej, gdybyśmy mieli nadal stosować jakieś preferencje w przypadku nadmiaru kandydatów na poszczególne kierunki studiów wyższych, to przy równorzędnych wynikach tę część młodzieży można z ufnością kwalifikować na te studia. Ale w każdym przypadku trzeba przestrzegać zasady, iż na studia każdy powinien zasłużyć rzetelną nauką i uczciwością. Uchybienia w tych dziedzinach muszą dyskwalifikować kandydatów na studia wyższe. I to, co stwierdzi się w szkołach przed maturą, należałoby potraktować jako nie mniej miarodajne, niż egzamin wstępny.

A może nawet na niektóre kierunki studiów należałoby przyjmować maturzystów w ogóle bez egzaminów wstępnych w dotychczasowym wydaniu, jeśli będzie tam rękojmia, iż studia od początku, konsekwentnie, będą studiami i nikt nie może liczyć na pobłażliwość, gdyby na jakimkolwiek etapie stwierdziło się zaniechania w studiowaniu lub też niegodne, nierzetelne, postępowanie? Wszak nawet bez zmian w ustawie z 4 maja 1982 r. o szkolnictwie wyższym można by wyegzekwować takie ustalenia. Wówczas nie byłoby problemu punktacji, preferencji etc. Można się o tym przekonać choćby w niektórych uczelniach, na wybranych kierunkach. Zresztą chyba nieźle by było, gdyby więcej uwagi zwracało się na inicjatywę z poszczególnych uczelni i środowisk w tej sprawie, niż na dążenie do ustalenia jednolitego szablonu do pomiaru przydatności młodzieży na studia. Oby tylko powszechnie było wiadomo, czego oczekuje się od kandydatów na studia wyższe i czego wymagać będzie od studentów ta czy inna uczelnia.

Dotychczasowe kursy przygotowawcze tylko częściowo spełniają jakąś rolę w potrzebnej orientacji, a potrzebna nam w całym systemie oświaty orientacja szkolna i zawodowa. Uczelnie wyższe mają w tej dziedzinie dużo do zrobienia nie tylko na progu przed studiami, lecz i w całym toku studiów.

Trzeba młodzież nie tylko dobierać i egzaminować, lecz również ukierunkować. Gdy chodzi o kandydatów na studia wyższe, to w zasadzie powinni oni poznać wybraną uczelnię i własną perspektywę zawodową przed 18 rokiem życia. Kto zaś po maturze nie stanie się studentem w wyniku zwykłego postępowania kwalifikacyjnego, z egzaminami wstępnymi lub bez egzaminów, w zależności od wyników ze szkoły średniej lub też od warunków ustalonych w uczelni, w następnych latach powinien mieć skierowanie lub tylko rekomendację z zakładu pracy. Jeśli przyjmie się takie ustalenie, wraz z preferencjami dla młodzieży wiejskiej, zwłaszcza chłopskiej, to niepokojący nas problem sprawiedliwego dostępu do szkół wyższych może być pozytywnie rozstrzygnięty bez stosowania wszelkich sztucznych zabiegów, mało skutecznych, a problematycznych ze względów pedagogicznych. Czas zaś przeznaczony dotychczas na różne zabiegi rekrutacyjne, łącznie z wylęczeniami punktów, można z większym pożytkiem poświęcić na bezpośrednie kontakty z młodzieżą i ukierunkowanie studiów każdego, kto wart pomocy.

TADEUSZ WILOCH

POLACY NA ZACHOD

PO NOCNYM UCZNIOM



WIELKI KRAJ WIELKIE PRACIĄ POLACYCH POLA, SZĘKŁY PRZEZYMIEL, UCZNE OSIEDLA

WIELKI KRAJ WIELKIE PRACIĄ POLACYCH POLA, SZĘKŁY PRZEZYMIEL, UCZNE OSIEDLA

WSZYSCY UCZYĆ SIĘ CHCIELI

CD ZE STR. 1

więc kurs i to z wyróżnieniem. Zatrudniono ją jako nauczycielkę i jednocześnie instruktora przysposobienia wojskowego kobiet. Zdażyła popracować cztery lata. Cztery lata uczenia w szkole. Wojna i okupacja zastały ją wraz z rodziną w Szczuczynie Nowogrodzkim. Mąż ranny, potem AK. Poszukiwany przez Niemców, pojmany. Cudem wykupiony. Ona w tajnym nauczaniu. Wschodnie, prowincjonalne miasteczko, sześciu, siedmiu uczniów. Bez podręcznika, świadectw, pieczętek. Patriotyczny obowiązek i obawa przed wpadką. A poza tym nieustanne wędrowanie. Za rąbka, za tytoniem, drożdżami, guzikami. Za czym się dało.

W 1944 roku front przewala się przez miasteczko. Rosjanie bombardują pobliskie lotnisko. Niemcy uciekając, pędzą przed sobą ludzi. Ona w ostatnich dniach ciąży. W lesie, w trakcie ucieczki przyszła na świat jej druga córka. Potem powrót do miasta i znów niepokój, co będzie dalej. Na budynkach wywieszony rozkaz: wszyscy mężczyźni mają się stawić na rynku. Więc przyszli. Pada rozkaz: — Polacy ustawić się w jednej grupie, Białorusini w drugiej. A potem ci drudzy poszli na front. Polacy zostali. I odtąd zaczęło się mówienie o repatriacji.

Wyjechali ze Szczuczyna Nowogrodzkiego ostatnim transportem. Ponad 6 tygodni czekali w Różance na pociąg. Koczowanie na dworcu. Pilnowanie krowy, którą kupili za ostatnie grosze. Transport szedł na zachód, oni zapisali się do Białegostoku. Razem z nimi jechali nauczyciele, lekarze, okoliczni chłopcy. Pociąg zatrzymywał się tylko w nocy. Tego, co kto pisał, nikt pod uwagę nie brał. I tak dojechali pod Poznań. Dobrze to pamięta, bo wtedy pierwszy raz zorganizowano im ciepły posiłek.

Ludzie spotykani po drodze przynosili coraz gorsze wieści. „Na zachód jedziecie? Toć na pewną zgubę. Przecież tam nic nie ma. Kota i psa nawet nie uswiadczysz, bo zjedzone. Taki tam, pani głód. Pusto i bezprawie. Wsiadajcie, ludzie, póki czas”. Tak im prawil ten i ów. Może specjalnie, a może naprawdę tak myślał? Kto to wie? Znajomy spod Poznania zaklinał, by się zatrzymać. Więc wysiedli we Wrześni. Chyba tylko po to, by stracić niemal wszystko. Okradziono ich dokumentnie, poznali, jak ciąc potrafią wygłodzone pchły, pchorowali się całą rodziną. Wreszcie uciekli stamtąd, gdzie oczy poniosą. I tak znaleźli się w Zielonej Górze, o której kilka miesięcy temu absolutnie nie myśleli. Ale tu była szansa na dach nad głową, na pracę.

★

Mówiło się wtedy — Ziemie Odzyskane, ziemie ojców przywrócone Macierzy. Wiedziała o tym, ale był przecież i strach, i niepewność. Strach przed pustym we wrześniu miastem. Milicjant mówi: — Idźcie i wysiedlajcie Niemców. Lekarz: — Wiesz, czorem nie pójde do chorego nawet za górę złota. Po kilku dniach pierwsze informacje: — Na tej ulicy zamordowali człowieka, na tamtej też, gdzie indziej napaśli. W nocy strzały. Miasto powitało ich fruwającymi papierzyzkami, połamanymi

meblami przed budynkami, pierzem w pustym domu. Spaniem na gołej podłodze. Pracy jest mnóstwo. Ale nie ma pieniędzy, nie ma co jeść. W Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym dali, co mogli. Trochę grosza, medykamentów. A na polach pod miastem ludzie, tacy sami jak oni, kopią ziemniaki. Niczyje. Rwą śliwki. Kto pierwszy, ten lepszy. Wolno było. Wolno i dziko.

Wracasz do domu, widzisz furmankę. Diabli wiedzą, kto zacz — „swój” czy szabrownik. Poprzedniego dnia przyszedł, rozjeżdżał się, co by warto zabrać, na wszelki wypadek nakleił pasek papieru, że niby „zabezpieczony”. A dziś podjeżdża i zała-



Zdjęcia: CAF

dowuje jak swoje. Byli tacy, co polowali na całe maszyny do szycia, a byli i tacy co tylko wymontowywali z tych maszyn najważniejszą część. Potem, w głębi kraju, ta część kosztowała prawie tyle samo, co cała maszyna. Jeden szabruje po cichu, bo jaźliwie, drugi „na chama”, w dodatku z rewolwerem w kieszeni. Kto wie, co mu „odbije” i wystrzeli.

No i jakoś powolutku zagospodarowali się w Zielonej Górze. Pierwsza wizyta w Wydziale Oświaty. A tam mówią: — Wspólnie, zaczynajcie. Już siedmiu nauczycieli mamy w mieście! Szkoła: ponure ponieemieckie gmaszysko, ale co najważniejsze — dzieci mało. A potem kolejna propozycja: — Na wieś trzeba iść, oświatę w teren nieść. Więc poszła. Do Raculi, parę kilometrów pod miastem.

Jest szkoła, są ławki, sółtys wita z otwartymi ramionami. Prosimy — mówi — u nas tyle dzieci, a nie ma komu uczyć. Zaczęła zapisywać. Nazbierało się ze sześćdziesięciu uczniów. Wszyscy do pierwszej klasy. W jednej ławce siedział siedmiolatek i ten, któremu już wąż zaczął się sypać. Po pracy piechotą do Zielonej Góry. Póki nie znalazło się dla nich mieszkania we wsi.

Nareszcie mała stabilizacja. A że w domu broni pełno? Ot takie czasy. Bywało, że przydawał się podręczny arsenalik. Wali ktoś w nocy do drzwi „Offnen Sie!” Dzieci na podłogę, pod okna, karabin do ręki. Kto wy, broń macie? Maruderzy, dezertery, uciekinierzy, szabrownicy. Niemcy, Polacy, nawet Francuzi.

Ponad pięć lat stawiała tutejszą szkołę na nogi. Tu przeżywała nauczycielskie wzloty, troski. Przyszło na świat jeszcze dwóch synów. A ile to chłopskich dzieci właśnie wtedy się urodziło. Wesela, chrzciny, prosili, to i szła. Ludzie chcieli się też i bawić, organizowała więc zabawy, zakładała chóry, teatryki. Intensywne było to życie w tamtych pierwszych latach. Rysowanie nowej mapy kraju na szkolnej tablicy. Nie tylko dla dzieci. Przekładanie niemieckich nazw na język polski, bo w szkole jeden globus i właśnie ponieemiecki. Pilnowanie, by dwie, trzy książki jak najdłużej służyły całej klasie. Prawdę mówiąc, wcale tak bardzo pilnować nie było trzeba. No, bo które z tych jej dzieci zarzykowałyby podarcie książki! Dla nich, którzy często podręcznik trzymali w ręce po raz pierwszy, był to prawie skarb jakiś. I może właśnie dlatego Nina Gabis tak mocno pamięta tamte pierwsze lata.

★

„Warszawiacy z za Buga”, „ruskie Polaki”, autochtoni, zbieranina z całego kraju. Różnice pomiędzy „poznaniakami” i tymi, ze wschodu były wtedy ostre. A dziś kto je dostrzeże? I gdzie? Może tylko w mowie dziadków. Bo młodzi pożenili się, pomieszali. Szkoła była taka sobie, ale była. Oświata robiła bokami, ciągiły brak ludzi. W mieście wojewódzkim dziecko napisało w zeszytce „chleb”, a nauczycielka poprawiła na „chlep”. Przybiegł rodzic do szkoły z awanturą, że takiego nauczyciela to „na zbity pysk...”. Pierwszy nauczyciel z tytułem magistra przyjechał do Zielonej Góry dopiero około 1950 roku! A wieś?

★

Mówię — skąd my to znamy. „Wtedy było jeszcze trudniej” — odpowiadają oboje. Niewielu uwierzy — dodaje. „Ale tak przecież było” — podkreślają z naciskiem. Próbują wyobrazić sobie lekcje przy świecach, walkę z analfabetyzmem, uczenie

Wież wtedy marzyła o nauczycielu. I trzymała dla niego najlepszą chałupę na mieszkanie.

★

Właśnie w takiej wsi zaprowadzono Tadeusza Szepelaka do „budynku szkolnego”. Izba wysprzątana, ławki równiutko ustawiane. Jest nawet tablica. Nic nie wyszabrowane! W płocie okalającym szkołę brakowało tylko jednej sztachety. A po sąsiedztwie przez cztery lata czekał pokój dla nauczyciela. To było w Santocznie, w dawnym powiecie gorzowskim. A w powiecie strzeleckim jeszcze w 1950 roku na nauczyciela czekało i mieszkanie, i puchowa pierzyna, i nawet ponieemieckie dzienniki lekcyjne.

Mówię, że w to chyba dziś nikt nie uwierzy. A Tadeusz Szepelak — żywa prawda, na własne oczy widziałem. I ten „chlep”, i tę dziurę w płocie, i te dzienniki. Tylko ludzi brakowało

starych i młodych rąk stawiania liter. Jak wyglądają te tabliczki, na których rysikiem dzieci pisały „...powrócili do Polski”? Jak można było zorganizować coś z niczego, wtłoczyć bezmiar bałaganu w nurt normalnego życia? Kiedy dziś chodzę po Zielonej Górze, nie czuję tamtej pustki miasta. Widzę miejski deptak, młodych ludzi, czytam afisz zapowiadający koncert Światosława Richtera. Nie rozumiem, jak niegdyś można tu było niepewnie się czuć. Obco w polskim mieście?

★

Piosenki o nich śpiewali... Przeleciały ich młode lata. Przemineły czasy wielkiej wędrowności osadników. Tych pierwszych. Życie poszło naprzód. Ci „za Buga” śmieszają już tylko w kinie. I może tak właśnie być powinno. Może właśnie w tym zawiera się głęboki sens przemian, które przeżywały się przez tę ziemię...

Co przeciętny młody Polak wie o młodzieży angielskiej? Ano, najczęściej tyle, ile zobaczy w telewizyjnych migawkach i co przeczyta w notatkach prasowych. W podobny sposób kształtują się wyobrażenia młodych Anglików o ich polskich rówieśnikach. Stąd mnóstwo pokutujących mitów i fałszywych przekonań o bezideowej, zblazowanej młodzieży angielskiej, rozrabiającej na piłkarskich stadionach — z jednej strony, a z drugiej o straszliwych warunkach politycznych i gospodarczych, w jakich rzekomo żyją ich rówieśnicy nad Wisłą. Podobnie wąta jest znajomość dorobku kulturalnego oraz walorów turystycznych Polski i Anglii. I nic dziwnego, wszak bezpośrednie kontakty młodzieży obu krajów — zwłaszcza ostatnio — prawie nie istnieją.

Tym większej wagi nabierają inicjatywy indywidualne, prywatne tych ludzi na Zachodzie, którzy nie ulegli atmosferze niechęci wobec Polski, którzy — właśnie teraz i to całkowicie bezinteresownie, bez jakiegokolwiek podtekstu politycznego — starają się nawiązywać i upowszechniać kontakty kulturowe i językowe z Polakami.

O jednej, tego rodzaju inicjatywie, chciałbym napisać.

KIM SĄ PAŃSTWO FRANCOMBE?

Mieszkają w Milton Keynes, niedaleko Londynu. Oboje są nauczycielami, pracują w Stantonbury Campus, dużym kompleksie szkolnym.

Wyjaśnimy też od razu, że pani Ola jest rodowitką... koszalinianką. Po ukończeniu studiów na filologii angielskiej, uczyła w Liceum im. W. Broniewskiego (absolwenci z lat 1972—1975 zapewne pamiętają młodszą panią profesora Dybko). Przypadek sprawił, że w 1975 roku pojechała do Puław na obóz UNESCO, gdzie — również przypadkiem (podobno zdecydował się w ostatniej chwili!) znalazł się młody nauczyciel z Anglii. W wyniku tych przypadkowych zbiegów okoliczności, Ola i Tony nie tylko się poznali i wzajemnie pokochali, ale także wkrótce pobrali.

I choć było to lat temu dziewięć, Ola nie tylko nie zerwała kontaktów ze swoją ojczyzną, ale jeszcze potrafiła autentycznie zainteresować nią swojego angielskiego męża, który dziś, z ujmującym uśmiechem mówi, że zakochał się nie tylko w Polsce, ale — z taką samą namiętnością — w Polsce.

JAK ZORGANIZOWAĆ OBÓZ?

Otóż obydwójce zawsze uważali, że paczki, dary itp. owszem, ale nie to jest najważniejsze. Szukali innej, konkretniejszej i wartościowszej formy wzajemnego zbliżenia polskiej i angielskiej młodzieży. Stopniowo dojrzewała myśl organizowania corocznych, stałych spotkań, na przemian w Polsce i w Anglii.

Na początek wybrano Koszalin — jakże by inaczej. Przygotowania zaczęły się jesienią ubiegłego roku. A więc najpierw wymiana korespondencji z naszym Ministerstwem Oświaty i Wychowania i uzyskanie jego aprobaty, potem nawiązanie kontaktu z koszalińskim kuratorem, gdzie pomysł od razu „kupiono”. I tak stopniowo wizja obozu młodzieży obu krajów zaczęła się urealnianić. Kuratorium zapewniło odpowiednie środki finansowe oraz etaty dla polskich i angielskich wychowawców, tudzież po tysiąc złotych kieszonkowego (znając nasze realia, wyobrażam sobie, ile trudności musiał pokonać kurator Mieczysław Statkiewicz i jego współpracownicy!) Zauważono też najlepsze chyba w Koszalinie miejsca w oddanym niedawno do użytku rozległym kompleksie budynków Zespołu Szkół Muzycznych.

W Anglii także trzeba było zdobywać pieniądze — wprawdzie wszelkie koszty utrzymania w Polsce ponosiło kuratorium, ale za samolotową podróż do Polski każdy uczestnik musiał zapłacić 150 funtów, co dla wielu angielskich rodzin jest sumą niemałą. Więc Tony zaczął szukać sojuszników i znalazł ich w British Council, które dołożyło ponad 2 tysiące.

Potem rozpoczął się nabór młodzieży — w Anglii i w Polsce. U siebie Tony zwrócił się do młodzieży ze szkoły, w której pracuje. Starano się tak dobierać uczestników, aby reprezentowali oni wszystkie środowiska społeczne, z bezrobotnymi włącznie. W Koszalinie sprawę naboru młodzieży przekazano szkołom. Wprawdzie założenie było takie, aby na jednego młodego Anglika przypadła jeden jego polski kolega, ale wiadomo jak to jest, jak przyszło co do czego, ze strony polskiej zbrano w sumie 65 osób, w wieku 13—18 lat, o bardzo różnym stopniu zaawansowania językowego, niektórzy prawie w ogóle nie znali angielskiego.

Wszyscy oni — polscy i angielscy uczniowie — spotkali się 22 lipca na inauguracji 4-tygodniowego obozu językowego. Tak się to oficjalnie nazywa, ale z pewnością jest to coś znacznie więcej niż tylko wspólne trenowanie języka, o czym przekonują się bezpośrednio podczas dwudniowego pobytu.

KADRA

Tworzyła ją grupa angielskich i polskich nauczycieli. Kierownictwo też było mię-

dzynarodowe — ze strony angielskiej główny inicjator całego przedsięwzięcia, Tony Francombe, Jego polską partnerką jest pani Stanisława Radziwon, na co dzień wicedyrektorka zespołu szkół, w którym ulokowano obóz. Nie miała ona łatwego zadania — na jej głowie było całe zaopatrzenie i wszystkie inne sprawy socjalno-bytowe.

Kuratorium przydzieliło 8 etatów pedagogicznych, równo po 4 dla nauczycieli polskich i angielskich. I te osoby były opłacane według normalnych stawek obowiązujących u nas na obozach letnich.

Ze strony polskiej w skład kadry weszli nauczycielki języka angielskiego oraz studenci filozofii angielskiej jak np. Kasia Połowska. Rodem z Koszalina, studiuje w Gdańsku, tutaj trafiła za namową swojej dawnej nauczycielki z liceum. Uznała, że wyniesie stąd mnóstwo doświadczeń językowych, ale przede wszystkim wychowawczych, jako że była okazją poznania elementów zupełnie innego systemu pedagogicznego (o czym jeszcze będzie niżej mowa).

Ze strony angielskiej kadre dobrano i naczej. Otóż czworo z nich stanowili nauczyciele — specjaliści, których zadaniem

było między dziewczyną a nachalnie zachowującym się chłopakiem. Trevor Harris, wykładowca „dramy” w Stantonbury Campus, jest niezadowolony, każe powtórzyć: za cicho, za mało ekspresji. A za chwilę wyjaśnia mi, że odgrywane przed chwilą dialogi ułożyli sami „aktorzy”, on jedynie sugeruje tematy poszczególnych scenek.

Do sali prób koła czy inaczej zespołu muzycznego trafiam bezbiednie, jako że z daleka słychać rozległe dźwięki „Suramertime”. Prowadząca zajęcia Alison Whittaker wysoko ocenia zdolności muzyczne członków zespołu. No, może zaskoczona jest jedynie niechęcią polskich uczniów do improwizowania, więc nad kształtowaniem tej umiejętności szczególnie pracuje.

Wędrujemy do internatu, na drugie piętro, gdzie „urzęduje” koło fotograficzne. Tu bryluje Tony. Ożywiony, pełen temperamentu, z namiętnością coś objaśniający grupce młodzieży — jest żywym zaprzeczeniem naszych tradycyjnych wyobrażeń o chłodnych i flegmatycznych Anglikach. Tony jest wielkim amatorem fotografowania, przywiózł ze sobą połowę swojej domowej pracowni, a także różnego rodzaju materiały fotograficzne. Zasada zajęć

Zaplanowano też dwudniowy biwak w okolicach Miastka. Miejsce tam jednak starczyło tylko dla części uczestników obozu. Przyjęto więc oryginalny sposób naboru. Mianowicie, wszyscy chętni pisali podania i specjalna komisja nauczycielsko-uczniowska je rozpatrywała. Nauczyciele wybierani byli tą samą drogą — też pisali podania...

Efektom tego ciągłego „razem” były nawiązane przyjaźnie i rzecz jasna, polsko-brytyjskie parki. Płonne więc okazały się obawy nauczycieli z obu krajów o to, że młodzież będzie się separować. 14-letni Jacek już przed obozem nawiązał listowny kontakt ze swoim angielskim rówieśnikiem. Na obozie mieszkali w jednym pokoju. Najpierw rozmawiali „na obrazki”, po pewnym czasie ołówki były już prawie niepotrzebne.

Ale najcenniejsze jest to, że młodzież angielska miała okazję do przewartościowania dotychczasowych opinii i sądów o Polsce. To prawda — powiedział Bruno, 18-latek z Milton Keynes — że ruch tu na ulicach mniejszy, a samochody wszystkie takie same, że brakuje kolorowych reklam i wystaw sklepowych. Ale też nie taki ten kryzys w Polsce okropny, jak to sobie wyobrażał, a gościnność i życzliwość Polaków jest wręcz zaskakująca — jest tu jakby inny stosunek do człowieka niż na Zachodzie. Przysłuchujący się naszej rozmowie Toni dodał, że po kilku tygodniach pobytu w Polsce, jego uczniowie wydają się być inni, bardziej dojrzały. Jakby zaczęli rozumieć, iż świat jest bardziej złożony i nie taki jednoznaczny, jak im się do tej pory wydawało.

Zaskoczył ich też nastrój wieczornicy z okazji 22 Lipca — u nich nie obchodzi się tak uroczystości tego rodzaju świąt.

I takie więc korzyści dało wspólne przebywanie młodych obywateli obu krajów. A mnie, postronnemu obserwatorowi, nasuwa się jeszcze jedna refleksja — po ubiorze przebywającej tu młodzieży nikt by nie rozpoznał, kto przyjechał z bogatej Anglii, a kto jest z ogarniętej kryzysem Polski...

REGULAMIN I SYSTEM WYCHOWAWCZY

To interesowało mnie najbardziej. Kilka lat temu miałem okazję zwiedzać szkołę w Milton Keynes i wiem, że swoboda uczniów i ich partnerstwo z nauczycielami, do których zwracają się po imieniu — jest u nas nie do pomyślenia.

Więc jak z tym było na koszalińskim obozie? Otóż okazuje się, że polscy i angielscy wychowawcy, opracowując regulamin, szukali jakiegoś modus vivendi. Tak więc np. obowiązywał stały rozkład dnia, światło trzeba było gasić o 22.30 i bez wiedzy nauczyciela dyżurnego nie wolno było opuszczać internatu. Nie palilo się też i nie pilo alkoholu, jak przewidują nasze regulaminy. Ale do nauczycieli wszyscy zwracali się — jak w Stantonbury Campus — po imieniu. Nie było to z początku łatwe dla naszych, zarówno uczniów jak i nauczycieli. Łatwiej, co zupełnie zrozumiałe, poradziły sobie z tym wychowawczynie-studentki. No cóż, nasza obyczajowość szkolna jest zupełnie odmienna w tym względzie i trudno ją zmienić na krótki okres wakacji...

Więc regulamin obowiązywał i był nawet wywieszony w publicznym miejscu i to w obu językach. Ale jego forma była zupełnie nietypowa jak na nasze warunki. Zamiast zwrotów „zabrania się”, „nie wolno”, „nie dozwolone” — znalazły się takie sformułowania: „Jeśli chcesz opuścić budynek, musisz najpierw zgłosić do wychowawcy: Ali, Jadwidze, Kasi, Waldkowi — oni wydadzą pozwolenie (lub nie!)”. Wychowawcy są odpowiedzialni za wasze zachowanie. Zachowujcie się, proszę, rozsądnie i szanujcie innych”.

Pani dyrektor Radziwon nie kryła swojego miłego zaskoczenia postawą angielskich uczniów: Bałam się — mówi — że będą chłodni, z dystansem, że trudno będzie nawiązać z nimi kontakt. Tymczasem — nic z tych rzeczy. Zawsze są zadowoleni, zawsze jest „very good”. W porównaniu z naszymi uczniami, których przecież dobrze znam, są jakby bardziej „na luzie”, więcej w nich wewnętrznej swobody i spontaniczności...

Warto jednak podkreślić, że przed wyjazdem Francombeowie zorganizowali swoim uczniom mały „kurs” zachowania się w Polsce. A Alan Booth przy pomocy Oli, przygotował nawet specjalną broszurę na ten temat.

Książeczce tej warto poświęcić trochę uwagi. Znajdują się tu podstawowe dane o Polsce, mapa, plan Zespołu Szkół Muzycznych, a także, hasłowo ujęte, cele kursu oraz różne informacje i ostrzeżenia, które, zdaniem angielskich nauczycieli, warto było przekazać uczniom. Oto kilka charakterystycznych cytatów.

NA WSPÓLNYM OBOZIE

DO ZOBACZENIA

W ANGLII!

LECHOSŁAW GAWRECKI

było prowadzenie zajęć z muzyki, teatru, archeologii i socjologii. Drugą czwórkę (pracującą społecznie) tworzyli studenci, absolwenci Stantonbury Campus. Ich zadaniem było — obok pełnienia typowo wychowawczych obowiązków — otaczanie szczególną opieką tych nieśmiałych dziewcząt i chłopców, którym było trudniej niż innym włączyć się w obozową społeczność. To typowa dla angielskiej szkoły tendencja do szczególnego traktowania uczniów odstających od przeciętności, a zwłaszcza wykazujących trudności adaptacyjne.

WSPÓLNE ZAJĘCIA

młodych Anglików i Polaków miały na celu — co Tony wciąż podkreślał — przede wszystkim wzajemne poznanie się i zbliżenie, a także, oczywiście, doskonałe nę języka. Założenie to realizowano wyjątkowo w toku aktywnych i wielostronnie ukierunkowanych zajęć oraz poprzez ciągłe przebywanie razem. Najpierw zatem o zajęciach.

Oto jedna z sal. Na środku sześć, polsko-angielskich par zawzięcie się kłócących. Między nimi uwija się angielski nauczyciel — co rusz sugeruje jakiś inny temat wymiany zdań, demonstruje sposób zachowania itd. Za chwilę zmiana formy zajęć. Bawimy się w grę wywiadową — ogłasza nauczyciel. Jest to dialog, w którym polski uczeń stara się jak najwięcej dowiedzieć o swoim angielskim partnerze. Różnie to idzie, jednym lepiej, drugim gorzej, ale wszyscy rozmawiają, a śmiechem przy tym i... hałasem co niemiara! Gry zmieniają się co chwila, a ja zaglądam do innej sali. I natychmiast zostaję włączony do zbiorowego, pełnego wigoru tańca ludowego — taki tu zwyczaj, że nikt nie stoi, wszyscy biorą udział w grupowych figurach tanecznych, szczegółowo objaśnianych przez Marianne Evens. Więc choć do tańca nigdy nie byłem szczególnie uzdolniony, drepnąć i podskakuję jak inni...

Pozostałe grupy są poza terenem obozu. Jedni uprawiają „English by movement”, czyli angielski przez ruch. Spacerują więc po okolicy i rozmawiają — tak jak potrafią — na dowolne tematy. Inna grupa zwiedza miasto, a rolę przewodników, rzecz jasna, pełnią gospodarze.

Tego typu zajęcia odbywały się przed południem. Natomiast po południu każdy uczestniczył w zajęciach wybranego przez siebie koła zainteresowań. Było ich sześć. Oto jedno z nich — koło dramatyczne.

W auli, na scenie, kilkoro uczniów przygotowuje różne scenki z życia młodzieży. Więc obserwuję ostrą wymianę słów w

jest taka — każdy przygotowuje „film” czyli po prostu zestaw przeżyci na dowolnie wybrany przez siebie temat, ilustrując go muzyką z taśmy. Tematy są różne — od banalnych w rodzaju „Mój dom” do oryginalniejszych jak „Wędrowka słońca”, przygotowywane przez Mirka z Koszalina. Im oryginalniejsze i bardziej twórcze ujęcie — tym lepiej, podkreśla wciąż Tony.

O swoich polskich podopiecznych mówił, że są bardzo pracowici i chętni do działania, ale jakoś trudno im zdobyć się na spontaniczną ekspresję, na swobodne wyrażanie tego, co czują. Tak więc za swoje pierwszorzędne zadanie uważał wyłączenie tych wewnętrznych hamulców właśnie poprzez swobodne operowanie kamerą fotograficzną oraz w trakcie montażu zestawów przeżyci.

Pozostałych trzech grup zainteresowań nie ma w budynku. Grupa plastyczna poszła w plener, a koło archeologiczne do muzeum, zaś socjologiczne, które wczoraj uczestniczyło w wykładzie i dyskusji o wkładzie Polaków w kulturę światową, dziś przeprowadza wywiady w terenie.

Po kolacji najpierw zajęcia zbiorowe — ale już typowo relaksowe — wspólne śpiewanie, gry, zabawy itp. A potem zajęcia indywidualne, według wyobrażeń. Więc jeden np. namiętnie walą lotkami w tarce, a inni biorą udział w klasycznej, angielskiej grze, której tematem są „...upiory”. Wbrew pozorom jest to zajęcie niebanalne, w oparciu o specjalnie z Anglii przywiezione książki, tyle, że reguły są tak zagmatwane, że mimo usiłowań nie jestem w stanie ich pojąć. No, ale taki Ian potrzebował kilku lat, żeby ją opanować...

O 22.30 kończy się kolejny, pełen wrażeń i przeżyć, obozowy dzień.

ZAWSZE RAZEM

Organizacja obozu była taka, że polska i angielska młodzież znajdowała się zawsze razem — również poza stałymi zajęciami. W jednym więc pokoju mieszkało zwykle dwóch (lub jeden) Anglików i dwóch Polaków. Ci, którzy mieli rodziców w Koszalinie, w czasie wolnym zapraszali angielskich kolegów do swoich domów.

Razem też jeździli na wycieczki. W tej sprawie kuratorium również spisało się znakomicie — do dyspozycji uczestników były bez przerwy dwa autokary. Pojechali więc wszyscy do Białego Boru, Kołobrzegu, Gdańska i Leby, a także do Budzistowa, gdzie jeździli konno i próbowali swych sił na strzelnicy.



Dzięki „Głosowi” za to, że zachęcił nas ogłoszeniem konkursu do wypowiedzenia się na tematy stanowiące przedmiot wielu naszych rozterek, rozważań, poszukiwań. Czasy, w których egzystuje nasza oświata, zmuszają nas, nauczycieli i wychowawców, do rezygnacji z wypracowanego, sprawdzonego wcześniej stereotypu pedagogicznego — na rzecz nowych doświadczeń i przemyśleń. Rodzą się więc nowe pytania i problemy, a jakość odpowiedzi i rozwiązań będzie owocować wartością moralną i naukową następnych pokoleń młodzieży.

To wszystko pragnę uporządkować i podzielić na tematy: „Trudności”, „Rozterki”, „Sprzymierzeńcy”. Są one owocem moich obserwacji rzeczywistości szkolnej w ciągu 10 lat pracy w liceum ogólnokształcącym, kontaktów i wymiany doświadczeń z nauczycielami innych szkół i wreszcie, w skromnym zakresie, badań i ankiet przeprowadzonych wśród nauczycieli i młodzieży.

TRUDNOŚCI

Nauczyciel pojmując czasem swoją działalność zawodową jako walkę z trudnościami, spróbuję je tu krótko przeanalizować. Do najważniejszych trudności napotykanych w codziennej pracy wychowawczej zaliczyłabym to, że nie istnieje w praktyce, lub jest bardzo ograniczona, koordynacja działań wychowawczych w szkole. Istnieją co prawda odpowiednie akty prawne (Karta, regulamin rady pedagogicznej, kodeks ucznia, status dyrektora LO, dokument MOiW „Kogo chcemy wychowywać”), istnieją regulaminy i dokumenty wewnętrzne szkoły (karta ucznia LO, plan pracy szkoły, plany pracy wychowawców i poszczególnych organizacji młodzieżowych), jednakże każdy z tych dokumentów żyje swoim życiem, jest „wykonywany” więcej ze względu na hasłowość odesobnionych poczynań pedagogicznych, niż ze względu na odczuwaną potrzebę ujednolicenia frontu wychowawczego w danej szkole, środowisku, mikrosystemie regionalnym oświaty. Pragnę przy tym zaznaczyć, że używając terminu „koordynacja działań pedagogicznych” nie mam na myśli zważniania nauczycieli z myślą, bo przepisy prawne przejmują niejako za nich odpowiedzialność za jakość kształcenia i wychowania. Chodzi mi raczej o to, że nie pomogą najlepsze przepisy, jeśli nauczyciel poprzez system kształcenia zawodowego nie jest wychowywany ani przygotowywany do współdziałania pedagogicznego.

Efektom tej „luki” jest przede wszystkim rozterka duchowa uczniów, którzy silną faktą starają się dostosować do różnych, często wręcz rozbieżnych, zaleceń poszczególnych nauczycieli. Skutkiem tego braku koordynacji jest przede wszystkim różny sposób oceniania zachowania uczniów, powierzchowne traktowanie kryteriów tej oceny, działalność uczniów „pod nauczycieli” — zatem całkowity brak rozeznania w tym, co jest naprawdę wartościowe. Za to uczniowie wiedzą doskonale, co się tak naprawdę u poszczególnych wychowawców opłaca.

Nie wypowiadałam się jednak za absolutną unifikacją wychowania, wychowywaniem „absolwentów”, nie zaś „indywidualności”. Aczkolwiek współdziałanie, koordynacja poczynań wychowawczych pozornie sprzyja tej unifikacji, to gdy się dokładniej problemowi przyjrzymy, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Trudność polega na umiędzianym odróżnianiu ucznia protestującego przeciwko określonej rzeczywistości — ucznia o wybitnej indywidualności — od ucznia zasłaniającego protestem i pozą swój nihilistyczny stosunek do obowiązków szkolnych. Często zdarza się tak, że w oczach jednego nauczyciela dany uczeń jest osobą wartościową, utalentowaną, lecz niewłaściwie wyrażającą swój stosunek do otaczającej go rzeczywistości. W oczach zaś innego nauczyciela jest on tylko lamiającym regulamin, zbuntowanym „prowodyrem”, unikającym, na domiar złego, pytania. Ryzyko podejmuje więc — często we wspólnym celu uzdrowienia rzeczywistości szkolnej — zarówno nauczyciel (niewłaściwa ocena sytuacji, krzywdy, podważanie autorytetu), jak i uczeń (zła ocena ze sprawowania, opinia). Nauczyciel jednak — z racji posiadanego wykształcenia, doświadczenia życiowego — jest za jakość tego ryzyka odpowiedzialny bardziej niż uczeń.

Drugą trudnością jest brak miejsca w szkole na kształtowanie indywidualności, mimo że istniejące przepisy dają młodzieży szerokie pole do działania, do ukazania swych talentów twórczych i organizatorskich. Mam na myśli udział szerokiego grona młodzieży w kolegialnym zarządzaniu szkołą (uczniowie tak właśnie ocenia-

ją swoje perspektywy w tym względzie). Stąd też rodzi się brak motywacji uczniów do wybijania się w czymkolwiek.

Aby nie być gołosłowną, przytoczę wypowiedzi uczniów z przeprowadzonej przeze mnie w kilkunastu szkołach woj. krosnieńskiego, rzeszowskiego i przemyskiego w roku szkolnym 1983/84 — ankiety. Oto charakterystyczne wypowiedzi na pytanie: „Czy sądzisz, że młodzież poprzez organizacje uczniowskie ma dostateczny wpływ na to, co się dzieje w szkole?” Uczeń kl. IV, średnia ocen 3,8, działający w samorządzie uczniowskim tak ocenia przyczyny braku aktywności uczniów w organizacjach. „Często spotykałem się ze zjawiskiem traktowania nas jako niepoważnych, niemysłących. Nauczyciele często widzieli w nas tylko zło. Wypominano nam te sprawy, o których chcieliśmy zapomnieć. Przyczyną tego był brak z obydwu stron zaufania. Nauczyciele nie ufali nam, bo zdawało się, że pewne sprawy nam nie wyszły, my zaś nie ufaliśmy nauczycielom, bo nie zawsze żądania nauczycieli były realne, a czasami jątrzące. Chciałbym, aby nauczyciele nie patrzyli na nas jak na poten-

cyonalnych nauczycielom bezinteresownym, wybitnym, stale poszukującym nowych metod, nauczycielom umiejącym przekonać młodzież do głoszonych przez szkołę prawd, co z kolei rodzi podejrzenie, że takich nauczycieli nie ma, że w oświacie pracują tylko jednostki o niskiej wartości intelektualnej i moralnej.

Rolę destrukcyjną z wychowawczego punktu widzenia pełnią również niektóre filmy telewizyjne dla dorosłych, które są oglądane przez młodzież. Mam na myśli np. wyświetlany przed kilkoma miesiącami w kinie nocnym film (nie pamiętam tytułu) przedstawiający młodego człowieka, który wyszedł z więzienia, był przywódcą grupy gitowców, spowodował śmierć swego brata. Działalność bardzo szkodliwa społecznie tej grupy była przedstawiona z wielką wyrazistością, wręcz „metodologia zbrodni” — okaleczenia, terror, gwałty, charakterystyczny żargon — pointa zaś bardzo nieczytelna: zarzyt ponownie zamkniętej za tym człowiekiem bramy więzienia. Według mojego rozeznania oglądali go uczniowie klasy drugiej szkoły średniej i bardzo im się ten film podobał, właśnie

Z KONKURSU: „JA I MŁODZIEŻ” - WYRÓŻNIENIE

POSZUKIWANIA

cyjnych „czyniących źle”, ale aby okazali nam trochę zaufania...”

Na kolejne pytanie ankiety: „Podaj przykłady spraw, których załatwienie wymaga udziału młodzieży” padły różne wypowiedzi, z których typową przytoczę: „Optymistami przestaliśmy być. Takich spraw jest wiele, ale czy podając je — zmienimy coś? W sprawach nauczyciel — uczeń zawsze górą jest „instancja wyższa”. To jest już taki ogólny porządek, którego trzymają się kurczowo starsi. Czego oni się właściwie obawiają?...” (Uczennica kl. IV, średnia ocen 4,2, aktywnie uczestniczy w pracach samorządu szkolnego, szkolnego koła PTTK).

Dla sprawiedliwości należy zauważyć, że pewien procent respondentów jest zdania, iż działając w organizacjach uczniowskich, mają możliwość wpływania na kształtowanie rzeczywistości w ich szkole.

Sporządziłam również rejestr spraw, które zdaniem respondentów ankiety zostały załatwione w szkołach bez udziału młodzieży. Są to według częstotliwości występowania: wymierzenie kary polegającej na przeniesieniu ze szkoły, przeniesieniu do równoległej klasy, naganie; przydzielenie nauczycielom godzin na kursach wyrównawczych; praca nad wewnętrznym regulaminem, konflikty uczeń — nauczyciel, ocena ze sprawowania, rodzaj i jakość proponowanych młodzieży imprez kulturalnych, ocena działalności organizacji uczniowskich.

Z moich obserwacji wynika, że z organizacjami młodzieżowymi współpracują chętnie, a również stosują indywidualizację wychowania — nauczyciele bardzo młodzi, świeżo po studiach, nieświadomi jeszcze tego, co to jest „ryzyko zawodowe”, czasem podejmujący działania niezbyt odpowiedzialne, lub nauczyciele starsi wiekiem i stażem, którzy w ciągu swej pracy odkryli w sobie swoje powołanie (sic!) do kształtowania młodzieży zgodnie z ideałami „homo politicus”. Wynika również z moich obserwacji i przeprowadzonych ankiet, że w dalszym ciągu funkcjonują w szkołach postacie nauczycieli-wzorów, „istoty społecznych”. To właśnie oni zarażają młodzież swym zapałem i zachęcają do rozwijania osobowości poprzez działalność społeczną.

I na koniec tej części rozważań jeszcze jedna trudność. Niektóre programy telewizyjne i radiowe, artykuły prasowe niekoniecznie adresowane do młodzieży, przedstawiające szkołę w „krzywym zwierciadle” — podrywają wręcz autorytet nauczycieli. Jest rzeczą zrozumiałą, że mają one na celu piętnowanie występujących i w tej grupie społecznej dewiacji — jednak jednostkowe przykłady, ilustrujące dany problem (przykład nauczycielki w jednym z programów radiowych, która stosuje kary pieniężne), osiagają i taki skutek, że ta mniej obiektywna część społeczeństwa na podstawie jednostkowych przypadków ocenia wszystkich nauczycieli jako osoby niekompetentne, sięgające w swej zawodowej bezsilności do środków pedagogicznie szkodliwych. Zbyt mało jest natomiast programów i artykułów prasowych poświę-

ze względu na owe sceny z dreszczem. Rodzice nie zawsze są w stanie kontrolować, co ich dzieci oglądają, gdyż pracują. Rezultatem? Kolejna lekcja „życia” dla młodzieży.

ROZTERKI

Jestem przekonana, że przeżywa je każdy wychowawca.

Chciałabym zasignalizować te, które są moim udziałem.

W swojej codziennej pracy często stawiam sobie pytanie, która funkcja nauczyciela jest ze społecznego punktu widzenia ważniejsza: kształcenie czy wychowywanie? Istnieje bowiem coś takiego, jak realizacja w trakcie lekcji z góry założonego i zapisanego w konspekcie „celu wychowawczego” lekcji. Nie zawsze jest on dość klarowny i nie zawsze faktycznie przyczynia się do wychowywania. A ja pytam w tym miejscu o prawo nauczyciela do wykorzystywania „momentów wychowawczych”, jak by to pięknie określił Korczak, aby to wychowywanie stało się mniej werbalnym, a bardziej rzeczywistym — nie realizacją celu samego w sobie (p. autonomizacja celów w teorii organizacji i zarządzania). Wszak przebywanie wychowawcy z wychowanymi rodzi sytuacje, które rozsądny nauczyciel umie i powinien wykorzystać i podporządkować założonym celom wychowawczym. Problem jest w tym, że dzieje się to czasami ze szkodą dla realizacji programu nauczania. Jednakże, kto wczyta się uważnie w sens Korczakowskich „momentów”, zauważy z pewnością, że ich istotną cechą jest ich ulotność, niepowtarzalność, niemożność wykorzystania ich po odczekaniu do lekcji wychowawczej.

W związku z powyższą rozterką rodzi się następna. Jak jest lepiej, gdy wychowawca uczy w swojej klasie czy też gdy w niej nie uczy? Doświadczenie wskazuje, że na ogół wychowawca uczy w swojej klasie. Czy jednak ktokolwiek odważył się przeprowadzić eksperyment ze szkołą, w której wychowawcy byłiby w danych klasach tylko wychowawcami — nie ucząc w nich? Za tym, by przydzielić wychowawcom godziny w ich klasach, przemawia uzasadniony pedagogicznie argument, że aby wychowywać, trzeba mieć możliwie częsty kontakt z wychowywanymi. Zdarza się jednak tak, że lekcje przedmiotu przekształcają się w lekcje wychowawcze, a na lekcjach wychowawczych realizowane są zadległości z danego przedmiotu. Co na to pedagogika?

Możliwość oddziaływań wychowawczych stwarzają również przerwy pod warunkiem jednak, że są dostatecznie długie. Na podstawie codziennych obserwacji mogę stwierdzić, że odkąd w szkole, w której pracuję, skrócono przerwy do 5 minut (z wyjątkiem 15-minutowej długiej), młodzież biegnie z klasy do klasy, lekcje głużą wyłącznie realizacją materiału. A gdzieś po drodze zgubił się człowiek. Ani młodzież, ani nauczyciele nie mają czasu za-

stanowić się, przemyśleć lekcję, która właśnie minęła — jedni biegną do następnej sali, drudzy po następny dziennik. Taka sytuacja rodzi nerwice, nie sprzyja wytworzeniu się jakichkolwiek więzi, tak ważnych w procesie wychowywania.

Codzienna praktyka szkolna rodzi też pytania — rozterkę, czy stać nas, ludzi dorosłych — wychowawców, na przyznanie racji uczniowi i jakie są tego skutki wychowawcze? Kto przyznaje rację drugiemu, kogo stać na przyznanie się do swojej porażki? Z pewnością człowieka skromnego, szlachetnego, szukającego prawdy. W opinii uczniów do wyjątków należą nauczyciele, których na to stać. Łatwiej jest nauczycielowi nie przyznać racji „stabszemu” — uczniowi, bo przemawianie ex cathedra go do takiej postawy upoważnia, sankcjonuje ją. Skutki? Przekonanie ucznia, że szkoła to aparat ucisku; brak zaufania i generalny brak aprobaty dla tego, co się w tej szkole dzieje. Zdarzają się jednak nauczyciele, którzy bez uszczerbku dla poczucia własnej godności umieją przyznać do popełnionej pomyłki. Zdarzają się jednak i uczniowie, którzy ten gest ze strony nauczyciela traktują jako widomy objaw jego słabości, niepewności, niewystarczającego poziomu wiedzy. Czy jednak nauczyciel swoim stosunkiem do prawdy obiektywnej nie powinien uczyć szacunku dla poszukiwaczy prawdy?

Kolejna „rozterka”, która warta jest zanotowania, to pytanie: czy obecnie w działalności pedagogicznej jest miejsce na improwizację? Czy dobry wychowawca to dobry rzemieślnik z dnia na dzień realizujący z góry zaplanowany i przemyślany program, często go rutyniarsko powtarzający? Czy też możemy nazwać dobrym nauczycielem takiego, który swą działalność, metody na bieżąco potrafi dostosowywać do określonej sytuacji, który nie zawsze wszystko skrupulatnie przewidzi i poszafadkuje?

Zważywszy, że ucząc i wychowując mamy do czynienia z żywymi ludźmi, dochodzę do wniosku po dziesięciu latach pracy, że liczą się przede wszystkim rezultaty. Te nie są jednak sprawdzalne natychmiast, lecz weryfikuje je ciągle dalsze życie każdego z naszych wychowanków. Dlatego jestem przekonana, że w naszym zawodzie najważniejsze są do perfekcji opanowane rzemiosło i zdolność do improwizacji, która zdobytą wiedzę pozwala w praktyce przetworzyć w nowe, lepszym pokoleniom owocujące wartości.

SPRZYMIERZENCY

Najważniejszym sprzymierzeńcem w mojej codziennej pracy jest ciągle zdobywanie wiedzy i obserwacja życia. Nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek egzystencji w tym zawodzie bez ciągłego kontaktu z książką — podręcznikiem pedagogicznym, z książką — lekturą rozwijającą intelektualnie. Szkoła nie może działać w próżni. Wychowujemy w określonym społeczeństwie, w danym środowisku. Normy społeczne, etyczne ulegają ciągłym zmianom, przeobrażeniom, przewartościowaniu. Nauczyciel powinien te zmiany bacznie obserwować, analizować, powinien wpływać na kształtowanie się nowych, pożądanych w danym środowisku norm i wzorców zachowania.

Kolejnym moim sprzymierzeńcem, bardzo ważnym, jest znajomość zasad sprawnego organizowania cudzej i swojej pracy, nabyta już w trakcie studiów podyplomowych w Sulejówku. Gdybym chciała wymienić, czego mnie tam nauczono, musiałabym napisać osobną pracę. Krótko mówiąc, inaczej od tego czasu pojmuję rolę nauczyciela w szkole, ekonomicznie wykorzystuję czas pracy, inaczej widzę rolę nauczyciela w szkole jako w mikrosystemie społecznym.

I wreszcie mój trzeci sprzymierzeniec — to ciągła, często podświadoma kontrola samej siebie, swojej działalności bieżącej i o ile to możliwe, jej skutków. A najważniejszym efektem tej samokontroli jest moje ciągle niezadowolone z tego, co robię i ciągle nowe poszukiwania i... powrót do lektury. Dlatego też, choć uczę już kilka lat i lubię tę pracę, to jednak nie czuję się w niej zbyt pewnie. Ale chyba tak powinno być?

MARIA JURCZYŚCZYŃ
Jedlicze

POZNAĆ NA WYCIECZCE

U progu szkolnej kariery niejednemu adeptowi sztuki pedagogicznej wydaje się, że kontakt z uczniem jest wystarczająco absorbujący, aby można było pozwolić sobie na bliższe obcowanie z człowiekiem, w każdym przypadku innym. Wydaje się również, że ustalenie, przy dobrej woli obu stron, poprawnych stosunków wzajemnych wystarczy w dydaktyce i wychowaniu. Nic bardziej złudnego. Spoza szkolnej jednolitości, powiedzmy, kl. VII b, spoza nakazów i zakazów, rytualnych gestów, zunifikowanych zachowań wyłoni się człowiek i zacznie domagać się dostrzeżenia siebie, swojej niepowtarzalnej wrażliwości lub niedoleństwa, swoich zachowań uwarunkowanych sytuacją domową, rodzajem codziennych przeżyć, prac, kontaktów, wręcz — osobistych zainteresowań. On się tylko przycałił po amur w dzienniku, stworzył pozory jednego z 25-35 osobowej grupy wstającej jednocześnie na powitanie wchodzącego nauczyciela, został ujarzmiony rzedami ławek, przytłoczony powagą katedry, ujednolicony strojem, upodobniony do pozostałych wymuszona przez szkołę subordynacją, poddany rutynie.

Jeżeli nauczyciel nie podda się złudzeniu, jeżeli nie popadnie w tę niebezpieczną „grę” polegającą na operowaniu „całością”, grupa, będzie często stawiać pytania: jak poznać każdego z nich, jak się do niego zbliżyć, jak mu pomóc, jak zapobiec grożącemu niebezpieczeństwu, jak przyjść z pomocą w chwilach najtrudniejszych, i jak te chwile w życiu dziecka rozpoznać? Wówczas pojawi się spojrzenie ludzkie, mniej mające wspólnego z martwym regulaminem uczniowskim, a więcej ze zrozumieniem żywego człowieka. Zamiast dezaprobaty lub wręcz ostrej nagany za wyraz rysującej się na twarzy nudy, pojawi się pytanie o przyczynę znużenia, obojętności, zamyślenia, smutku, duchowej nieobecności, nadzwyczajnego zadowolenia.

Za tymi pytaniami pójdą inne: o zainteresowania, przyczynę niepokojów, sytuację rodzinną warunkującą samopoczucie, stan ducha i rodzaj zachowań. Przyjęcie takiej perspektywy pozwoli zastanowić się nad

tym, co wychowanków naprawdę interesuje i z jakimi problemami boryka się każdy z nich.

Ale jak znaleźć odpowiedź na te i inne pytania? System klasowo-lekcyjny nie sprzyja poznaniu dziecka, dyscyplina lekcyjna, pożądana w nauczaniu, nie zbliża, a często stresuje przez tradycyjny system odpytywania. Stąd tak ważne wszystkie zajęcia pozalekcyjne, godziny wychowawcze, paury.

Jedną z form prywatności kontaktu jest wycieczka szkolna, która ma w sobie wiele z praktycznego życia: strój, zaopatrzenie, wspólny marsz czy spacer, załatwianie wielu spraw, dłuższa jazda.

W tym czasie pojawia się naturalna okazja obserwacji uczestniczącej, dzięki której w zwykłych sytuacjach życiowych poznaje się charakter i postawy wychowanków. Tak na etapie przygotowań, jak trwania wycieczki, da się zauważyć, kto jest bezinteresownie grzeczny i dobry, uczynny lub tylko dobrze wychowany, a kto wygodny, egocentryczny, czasem złośliwy, lub „krnąbrny”. W tej rozluźnionej sytuacji dzieje się „odkrywają”, przestają grać, udawać, stwarzać pozory — stają się sobą. Jedne są wesołe, swobodne, umieją się cieszyć i odpoczywać, inne — zmartwione, smutne, przygnębione, nie umiejące zrzucić jakiegoś piętna, czasem nad wiek poważne.

Takie, skądinąd pobieżne, rozpoznanie pozwala na właściwy krok w stronę dziecka czy młodego człowieka. Na wycieczce jest czymś zupełnie naturalnym, że nauczyciel siada obok ucznia, idzie z nim przez dłuższą chwilę, prosi o coś — i rozmawia. A rozmowa nie tylko zbliża, zawiązuje nić porozumienia, często sympatii, odkrywa wspólną światopoglądową, ale też przynosi autentyczną wiedzę o wychowanku.

Dzieci młodsze chętnie mówią o domu, rodzicach, rodzeństwie, o sobie w innych, niż szkoła, sytuacjach. Starsze, bywa, wyrzucają coś z siebie, odsłaniają się pośrednio, uzewnętrzniając jakieś piękne sprawy; raz gorzkie rozczarowanie, innym razem wielkie plany i nadzieje, jakie wiążą z własnym rozwojem. Dopiero

wówczas widać jak na dłoni szkołę jako jeden z wielu elementów bogatego życia, szkołę mało skuteczną w swojej oficjalnej, fasadowej postaci norm i wzorców. Widać również, że nadzieje zostały obudzone przez kogoś innego, ideały zaczerpnięte gdzie indziej — i wtedy robi się smutno. Smutno, że szkoła tak niewiele może. Więc chciałoby się ten stan zmienić przez szczerość, przyjaźń, zaskarwienie zaufania. Niejednemu przecież marzy się „rząd dusz”. A tymczasem z rozmową może wynikać, że młodemu człowiekowi brak, poza kolegami, intelektualnego partnera dyskusji, spolegliwego powiernika, albo moralnego autorytetu.

Bacniejszy obserwator dostrzeże w czasie wycieczki grupy nieformalne, klasę ukształtowaną nie wedle szkolnych układów i przynależności, ale grupki czy pary dobierające się na bardzo różnych zasadach: wspólnoty zainteresowań, sympatii, upodobań, cech charakterologicznych i wielu innych. I nie może przejść obojętnie nad tą nową „mapą” klasy, na której to mapie prymus błąka się samotnie po jej obrzeżach, a klasowe „zabijaki” cieszą się sympatią dużej części młodzieży, skupiając ją wokół siebie.

Spostrzeżenia wyniesione z bezpośredniego obcowania z młodzieżą to etap ważnej, ale wstępnej orientacji, w czasie której młodzież niejako „wysłała” sygnały; trzeba je umieć odebrać, właściwie zinterpretować i uczynić narzędziem w nauczaniu i wychowaniu. A tu nie wystarczy intuicja. Pojawi się głód wiedzy psychologicznej i pedagogicznej, praktycznego jej zastosowania, a jeśli tej wiedzy brak, pozostaje konieczność stałej lektury, usilnego samokształcenia, konsultowania własnych wątpliwości z bardziej doświadczonymi kolegami. Dobre rezultaty przynosi kilkuletnie, planowe zajmowanie się jakimś problemem, co w końcu, po praktycznej weryfikacji, powinno doprowadzić do wniosków i uogólnień. W ten sposób zdobywa się doświadczenie pedagogiczne.

Aby je zdobyć, potrzebna jest nie tylko gotowość emocjonalna, lecz także ogromna cierpliwość i wytrwałość w realizowaniu założenia, że chce się być nauczycielem i jednocześnie zaufanym przyjacielem młodzieży.

Rezultaty nierozłącznej działalności dydaktycznej i wychowawczej złożą się z czasem na mistrzostwo pedagogiczne. Będzie to jednak znacznie trudniejsze niż w każdym innym zawodzie, gdzie wystarczy przestrzegać odpowiednich parametrów, posługiwać się recepturą, realizować dokładnie proces technologiczny.

Odmienność pracy nauczyciela, jej trudność, a zarazem atrakcyjność polega na tym, że ma on do czynienia ze specyficznym twórczym, jakim jest człowiek, młody człowiek. Dlatego jego praca ma charakter twórczy, podobny do pracy uczonego lub artysty, gdzie twórczość polega na celowym kształtowaniu, na formowaniu czegoś nowego i w zamyśle twórcy — doskonałego. Polega też na realizowaniu pewnej wizji człowieka, a więc na aktach niepowtarzalnych. Procesowi temu towarzyszy maksymalna koncentracja i równocześnie podzielność uwagi, jako że nauczyciel nie ma, jak rzeźbiarz, jednej bryły i jednego obiektu swoich zainteresowań. Ma ich dziesiątki i stąd większe, niż w innych zawodach, możliwości sytuacji konfliktowych, wyczerpania nerwowego, okresowego znużenia. Prawdziwie deformującym wpływem zawodu podlegają nauczyciele popadający w rutynę, apodyktycznym stosunkiem do młodzieży osłaniający własne braki, dotknięci infantylizmem, ponieważ nie rozszerzają i nie aktualizują własnej wiedzy. Tymczasem chodzi o to, aby ucznia jak najściślej wiązać z życiem i wychowywać w świadomości jego osobistego udziału w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym kraju.

dr ANNA MARZEC

POMYSŁ DO NAŚLADOWANIA!

BYDGOSZCZ I KTO JESZCZE?

Pół roku temu, a konkretnie w 16 numerze „Głosu” z 15 kwietnia br., pisaliśmy o wartościowej inicjatywie bydgoskiego Zarządu Oddziału ZNP, mającej na celu dostarczenie członkom Związku konkretnej, rzeczowej, informacji o wszystkich poczynaniach Oddziału. Przypominamy: chodził o „Informator Związkowy”, w którym przedstawiono nie tylko program działania na okres kadencji i plan pracy Zarządu Oddziału na 1984 r., lecz także szereg informacji przydatnych członkom Związku m.in. o sposobie przyznawania zasiłków statutowych, o planowanych wycieczkach, wczasach, sanatoriach, o sposobie zamawiania hoteli, dyżurach rady prawnej itp.

Rekomendując wówczas ten sposób kontaktu z członkami Związku, zachęcaliśmy inne ogniska do „naśladowania”. Jak do tej pory jednak nie dotarły do nas sygnały o podobnych inicjatywach z innych regionów.

Natomiast Bydgoszcz nie poprzestała na „Informatorze Związkowym”, który będzie wydawany każdego roku. Właśnie niedawno ukazały się dwa następne wydawnictwa.

Jedno z nich to „Informator Klubu Nauczyciela na rok szkolny 1984-85”. Wydany wspólnie przez Wydział Oświaty i Wychowania oraz Zarząd Oddziału ZNP. We wstępie do tej broszury czytamy: „Oddajemy Wam do rąk informator o działalności Klubu Nauczyciela. Mamy nadzieję, że wśród naszych propozycji każdy z Was znajdzie coś, co go zainteresuje; zacieka, sprawkuje do odwiedzenia Klubu. Założeniem naszym jest działanie na rzecz pracowników oświaty i wychowania, stąd nasze propozycje programowe adresowane są do wszystkich pracujących w szkołach. Będziemy bardzo radzi, jeżeli znajdziecie swoje miejsce w naszym wspólnym Domu, bowiem uważamy, że Klub to miejsce intelektualnych spotkań i kulturalnej rozrywki. Omówimy najważniejsze poczynania poprzez zaprezentowanie stałych form działalności oraz propozycje programowych w roku szkolnym 1984/85. Czekamy na Wasze propozycje, na prezentację twórczości artystycznej, chętnie służymy pomocą przy realizacji”.

I rzeczywiście, w Informatorze znaleźć można nie tylko dane ogólne o Klubie i ramowy plan

pracy oraz tygodniowy program działania, lecz także plan prelekcji i różnych imprez (brydżowych, szachowych, przegląd rękodzieła artystycznego) informacje o konkursach literackich i fotograficznych, o Klubie Seniora i kółkach zainteresowań (Polskiego Towarzystwa Geograficznego, miłośników jęz. polskiego, esperantystów, brydżowego i szachowego, miłośników robot ręcznych, tanecznych, plastycznego), o spotkaniach turystycznych i towarzyskich.

Jednym słowem, konkretnie i rzeczowo poinformowano członków Związku, czym na co dzień zajmuje się Klub. Sądźmy, że kto przeczyta tę informację, zechce skorzystać z jego gościnności. I o to właśnie chodzi.

Drugie, a właściwie trzecie już, wydawnictwo bydgoskiego Oddziału ZNP, to „Książka pracy ogniska”. Zawarte jest w niej wszystko, co w zakresie dokumentacji, robić powinno to własne ognisko. A więc jest miejsce na protokół z zebrania wyborczego i z kolejnych zebrań ogniska w okresie kadencji. Są porubrykowane strony na prowadzenie ewidencji (danych osobowych członków ogniska), jest porubrykowane miejsce na prowadzenie rejestru składek, na dokumentację dotyczącą dotacji Zarządu Oddziału oraz miejsce na rejestr podpisanych dokumentów. Zarezerwowano też jedną stronę na odnotowanie ważnych wydarzeń z życia ogniska oraz wniosków kierowanych do Zarządu Oddziału. A na ostatnich stronicach znajdują się fragmenty statutu ZNP dotyczące ogniska oraz praw i obowiązków członków ZNP, na wstępie zaś — najważniejsze adresy i telefony instytucji, z którymi ognisko ma do czynienia.

Celowo tak dokładnie przedstawiamy treść „Książki pracy ogniska”. Spełnia ona bowiem, według nas, dwa bardzo ważne zadania. Po pierwsze jest przejrzystą formą instruktażu, jak prowadzić dokumentację tego ogniska, co stanowi ogromną pomoc dla młodych, niedoświadczonych działaczy związkowych. Po drugie: dzięki zamieszczeniu w niej gotowym rubrykom, formularzom — upraszcza prowadzenie tej dokumentacji, zmniejsza jej czasochłonność. To także duży walor, tym większy, że na szczeblu ogniska działalność związkowa prowadzona jest całkiem społecznie.

Na „Książkę pracy ogniska” przewidzianej na całą kadencję zyskuje także pomysłodawca: Zarząd Oddziału ZNP. Ma bowiem do czynienia z ujednoliconą, prowadzoną we właściwy sposób, dokumentacją ogniskową.

Przykład bydgoskiego oddziału ZNP świadczy o tym, że można — jeśli się chce — dotrzeć do członków Związku z aktualną informacją o związkowym działaniu. A że informacja taka jest — przy dużym rozproszeniu naszego zawodu — bardzo potrzebna, o tym chyba nikogo nie trzeba przekonywać. Dlatego raz jeszcze zachęcamy inne oddziały do pójscia w ślady Bydgoszcz. O wszelkich tego rodzaju inicjatywach — jeśli nam o nich napiszecie — będziemy informować na łamach „Głosu” (DCh)

JESZCZE

O WOLNYCH SOBOTACH

W „Polityce” 1 września 1984 r. nr 35 ukazał się na pierwszej stronie artykuł Sławomira Sikorskiego — nauczyciela Zbiorczej Szkoły Gminnej w Konstancinie. Artykuł nosi tytuł dość przydługawy: „Nauczyciel przeciwko wolnym sobotom w szkole. Nie o takiej szkole śniłem”.

Na początku autor pisze: „My, nauczyciele, nie produkujemy mebli, ale uczymy i wychowujemy młodzież. Jej dobro, a w perspektywie przecież interes każdego z nas, powinno być w naszej pracy celem nadrzędnym. Wydaje się, że nauczyciele w wydrzgu o przywileje zapomnieli o tej prawdzie”.

Stwierdzenie, że nauczyciele „w wyścigu o przywileje” zapomnieli o swoich obowiązkach, jest niesprawiedliwe. Nie było bowiem wyścigu nauczycieli o przywileje, lecz została unormowana sytuacja materialno-bytowa tej grupy zawodowej oraz zbliżenie do średniego zarobku innych grup zawodowych o podobnym wykształceniu. Nauczyciel w 1982 roku otrzymał Kartę Nauczyciela, która na raty reguluje jego sytuację prawną-materialną. Do 1981 roku nauczyciel był na najniższym szczeblu drabiny płacowej. Ale te uwagi to tak na marginesie.

Autor jest przeciwnikiem wolnych sobót w szkole. Podaje przesłane wiele słusznych argumentów, przemawiających za wprowadzeniem sześciodniowego dla uczniów tygodnia pracy w szkole. Natomiast krzywdząca jest następująca konstatacja: „O ich wprowadzeniu (chodzi o wolne soboty — M. Cz.) decydowały samorządnie, w pełni tego słowa znaczeniu, a więc bez nacisków z zewnątrz, sugestii i rad instancji zwierzchnich, same rady pedagogiczne. Nikt nauczycieli do wolnych sobót nie zachęcał, ale też nikt nie stawiał przeszkód. Mieliśmy całkowicie wolną rękę. Coś w rodzaju egzaminu dojrzałości obywatelskiej, poczucia odpowiedzialności za powierzoną naszej pieczy młodzież, jej kształcenie i wychowanie”.

Jest w tym stwierdzeniu częściowa prawda — prawda formalna. Powszechnie wiadomo, że wolne soboty zostały wprowadzone w szkole z rocznym opóźnieniem w porównaniu do innych działów gospodarki narodowej. Wprowadzenie wolnych sobót w szkolnictwie całkowicie zostało uwarunkowane czynnikami obiektywnymi, jak np. likwidacja autobusów szkolnych PKS, z których korzystała wielka część uczniów. Za wolnymi sobotami byli przede wszystkim rodzice, stanowczo wypowiadając się sama młodzież. Nauczyciel był najmniej zainteresowany wolną sobotą, gdyż Karta Nauczyciela gwarantowała mu pięciodniowy tydzień pracy, a zatem ten jeden dzień wolny mógłby mieć w poniedziałek, wtorek, czy inny — oprócz soboty.

Przeprowadziłem w roku szkolnym 1983/84 w wielu szkołach swego rejonu sondaż wśród dzieci i młodzieży oraz ich rodziców na temat wprowadzenia nauki szkolnej w soboty. 99 proc. respondentów wypowiedziało się przeciwko wprowadzeniu nauki w wolne soboty, motywując to tym, że uczeń to też człowiek, pracownik umysłowy na pełnym etacie, że podlega ustawie sejmowej, prawom człowieka itp. Odbierając uczniom wolną sobotę — twierdzono — postępowalibyśmy amoralnie, gdyż starsi w tym dniu wypożyczaliby, a dzieci i młodzież musiałyby pracować.

Przebieżenie prac uczniów respondenci uzasadniali wadliwą siatką godzin lekcyjnych, która zwiększyła liczbę godzin wymiaru tygodniowego w porównaniu do lat, kiedy nauczano w sześciodniowym tygodniu. Na przykład w klasach I—III szkoły podstawowej liczba godzin lekcyjnych w tygodniu przedstawia się następująco:

Kl. I: 21 godzin, plus 2 godz. zajęć dydaktyczno-wyrównawczych z języka polskiego i matematyki, a dla niektórych uczniów jeszcze 2 godz. zajęć z gimnastyki korekcyjnej i 2 godziny (dla niektórych) zajęć z reedukacji. W sumie dla niektórych uczniów tydzień pracy wynosi nie 21, lecz 27 godzin.

Kl. II: 22 godziny, a dla niektórych uczniów dalsze 6 godzin, czyli razem 28 godzin w tygodniu.

Kl. III: 24 godziny w tygodniu; dla niektórych uczniów — do 30 godzin w tygodniu.

Moji respondenci nie widzą potrzeby, aby w klasach I—III były aż 2 godziny lekcyjne w tygodniu muzyki, techniki-pracy i pla-

styki. Nie widzą też potrzeby realizacji tak rozbudowanych zajęć dydaktyczno-wyrównawczych i gimnastyki korekcyjnej. Ich zdaniem w klasach I—III tygodniowa siatka godzin lekcyjnych nie może przekraczać 21—24 godzin. W wielu szkołach ponadto nie zawsze przestrzegano zasady, że uczeń może należeć tylko do jednego kółka zainteresowań. Zdarza się, że ten sam uczeń (uzdolniony) należy do kilku kółek.

Związek Nauczycielstwa Polskiego równoległe z resortem oświaty powinien w bieżącym roku szkolnym przeprowadzić wspólnie ze służbą zdrowia badania obciążenia uczniów nauką szkolną, biorąc pod uwagę nie tylko ich pobyt w szkole, lecz także pracę w domu (zadania domowe).

MIECZYŚLAW CZECHOWSKI
Kamieniec Żabkowski

ŚPIEWAJĄ JUŻ 5 LAT

Chór Seniora — nauczycieli emerytów w Poznaniu — obchodził w tym roku 5-lecie. W listopadzie ubiegłego roku zdobył nagrodę w Przeglądzie Amatorskich Zespołów Chórów Wielkopolski, zorganizowanym przez Pałac Kultury w Poznaniu i Związek Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Poznaniu. Ma więc już liczące się wyróżnienie i uznanie swojej artystycznej działalności.

Dyryguje chórem i opracowuje pieśni, dostosowując je do możliwości odtworczych chórzystów, kol. Antoni Lewiński. Przeską chóru jest kol. Janina Michałowska, która prowadzi konferansjerkę na występach, łącząc pieśni z poezją.

Cechą charakterystyczną repertuaru tego chóru są montażowe wokalne-poetyckie o tematyce patriotycznej, wojskowej i ludowej. Hasłem ich są słowa pieśni, której autorem jest kol. Idzi Kupczyk do muzyki dyrygenta, kol. Lewińskiego.

Ojczyźnie wierni do kresu sił,
mieliśmy dla niej ofiarny trud...
a dziś, choć przekwitł naszej młodzieży kwiat
wciąż pełen zapachu brzmi nasz głos.

Ukochaną programową pieśnią chóru jest pieśń, także skomponowana przez naszego dyrygenta i kompozytora w jednej osobie do słów kol. Gołanta, „Kocham Poznań” — Kocham przeszłość, teraźniejszość, przyszłość Poznania — jego parki, drzewa i kwiaty...

Chór Seniora ma swoją siedzibę w Klubie Nauczyciela w Poznaniu, którego kierownictwo otacza nas bardzo życzliwą opieką. Co roku wyjeżdżają chórzyci na 2-tygodniowe wczasy. Byli już w Jarosławcu, Supraślu i tam, przygotowując nowy repertuar, umiali pobyt wczasowiczom.

Na uroczystość 5-lecia chóru, która odbyła się w listopadzie 1983 r. przybyli przedstawiciele władz oświatowych i związkowych.

Chór obecnie liczy 40 członków — większość jest tych, co od początku śpiewają. Chórzyci są bardzo zdyscyplinowani, pełni optymizmu i zapału. Twierdzą oni, że nie wyobrażają już sobie życia bez śpiewu, on umila im codzienne, czasem tak bardzo szare dni, daje radość i zadowolenie. Zawijają się tu trwałymi przyjaźniami, sympatią, a to przecież człowiekowi, szczególnie emerytowi, tak bardzo jest potrzebne. Dlatego, jak twierdzą słuchacze, każdy koncert wykonywany jest z pasją i temperamentem, czasem wrusza do łez, rozrzewnia i rozwesela.

Chór Seniora przy Klubie ZNP w Poznaniu może być przykładem, że będąc na emeryturze nauczyciele, którzy nie szczędzili sił dla dobra Ojczyzny w czasie wojny i w czasie powojennym, dziś służą jej, kultywując i popularyzując polską patriotyczną i ludową pieśń i poezję.

Koleżanki i Koledzy emeryci, bierzcie przykład z chóru poznańskiego, zakładajcie chóry, śpiewajcie! Opracowane już pieśni chętnie nasz Chór Seniora udostępni. Śpiew chórally da Wam radość i zadowolenie.

JANINA MICHAŁOWSKA
Poznań

TRUDNO SIĘ POGODZIĆ

W miesięczniku „Problemy Opiekunów-Wychowawców” nr 9, z 1983 r. opublikowano „stopnie specjalizacji zawodowej z zakresu terapii pedagogicznej”. Oddział Doskonalenia Nauczycieli w Szczecinie orzekł, że są to jedyne wymogi specjalizacyjne dla pedagogów szkolnych. O inne specjalizacje pedagogów szkolni nie mogą się ubiegać.

Trudno się z tym orzeczeniem pogodzić, skoro opublikowane wymogi specjalizacyjne zorientowane są głównie na pedagogów szkolnych szkół podstawowych. W zalecanej literaturze dominują pozycje typu: „Różnice indywidualne czy zaburzenia rozwoju dziecka przedszkolnego”, „Moje metody pracy w kl. I”, „Zanim dziecko zacznie pisać” i inne.

Zalecona literatura jest niezbyt adekwatna do problematyki pracy pedagogów szkolnych szkół ponadpodstawowych. Wykazano to w różnych publikacjach, między innymi w art. „O nowych powinnościach pedagoga szkolnego”, opublikowanym w „Szkole Zawodowej”. Specyfikę środowiskową pracy pedagoga szkolnego eksponuje również doc. Irena Jundziłł z Uniwersytetu Gdańskiego („Praca pedagoga w szkole środowiskowej”, „Nauczyciel i Wychowanie”, nr 6 z 1980 r.). Wspomnianych publikacji, niestety, nie uwzględniono. Wnioskuje o rozszerzenie lektury zalecanej pedagogom szkolnym pozycjami z teorii wychowania, psychologii wychowawczej, pedagogiki społecznej i opiekuńczej, a dla pedagogów szkolnych szkół zawodowych pedagogiki pracy — z którymi pedagog szkolni szkół ponadpodstawowych mają autentycznie do czynienia.

Wzmianki wymaga jeszcze jeden aspekt podniesionej sprawy. Oddział Doskonalenia Nauczycieli w Szczecinie dwukrotnie odrzucił podanie o trzeci stopień specjalizacji zawodowej nauczyciela-pedagoga szkolnego pracującego w zawodzie 35 lat w tym kilkanaście lat w opiece nad dzieckiem i w szkolnictwie specjalnym — tylko dlatego, że nie ukończył kursu terapii pedagogicznej, którego nikt nie zorganizował. Nauczyciel złożył oczywiście podanie o przyjęcie na kurs terapii pedagogicznej, skoro jest to warunek koronny uzyskania specjalizacji, na której mu zależy. Nie jest jednak przekonany o konieczności uczenia się terapii pedagogicznej w przedszkolu i w szkole podstawowej, do których nie zamierza przemieścić się w ostatnich latach swojej pracy.

CZESŁAW BRUDNIK
Swinoujście

POMÓŻMY SOBIE SAMI

Istnieje pilna potrzeba budowania nowych szkół, rozbudowy już istniejących, dobudowywania sal gimnastycznych, dobrze wyposażonych oraz zielonych sal gimnastycznych. Pomóżmy sobie sami. Inicjatywy nigdy nam przecież nie brakuje.

Społeczeństwo polskie nie może patrzeć obojętnie na niszczące budynki szkolne, na złe wyposażenie szkół w sprzęt i pomoce naukowe. Twórzmy przy urzędach miejskich i gminnych komitety pomocy szkole. W małych wiejskich szkołkach borykamy się z trudnościami, nawet przy bieżących remontach budynków szkolnych. Brakuje nam fachowców. Na szczeblu urzędów gminy łatwiej będzie pozyskać rzemieślników o różnych specjalnościach. Odkładanie niektórych pilnych prac z remontu bieżącego z powodu braku fachowców lub funduszy mści się podwójnie. Nie naprawiony w porę dach powoduje zacieki na ścianie i uszkodzenie tynków.

Chętnie widzielibyśmy w naszych szkołach uczniów z techników budowlanych i studentów z wydziałów budownictwa, którzy zdobyli teorię stosowaliby w praktyce pod ścisłym dozorem swoich przełożonych i wychowawców. Nasze budynki szkolne byłyby dla nich świetnym miejscem praktyk, a efekty ich pracy cieszyłyby ich i nas — dyrektorów, nauczycieli i uczniów. Słyszysz się często narzekania uczniów i studentów na złe zorganizowane praktyki. W naszych szkołach praktyki organizowałiby sami uczniowie i studenci, ich wychowawcy i opiekunowie oraz dyrektorzy szkół. Na pewno taka praktyka przyniosłaby wielkie korzyści, liczone w złotych i satysfakcję młodzieży z efektów swojej pracy, a dzieciom, ich rodzicom i nauczycielom pozwoliłaby poznać młodych ludzi dobrej roboty.

ZOFIA TERECH
Brzeziny

GALERIA NAJMŁODSZYCH

Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży w Skarżysku-Kamiennej istnieje już 10 lat. Utworzona z inicjatywy Tadeusza Stradowskiego przy Oddziale ZNP w pomieszczeniach Domu Nauczyciela, jest obecnie jedyną z aktywnie działających placówek kulturalnych miasta.

Od samego początku inicjatywa ta spotkała się z dużym zainteresowaniem. Nauczyciele wychowania plastycznego — Teresa Rakowska, Danuta Kwiatkowska, Mieczysław Poros, Jerzy Gałuszko, Janusz Lachowski — zgłosili chęć współpracy i pod przewodnictwem inicjatora tej placówki, Tadeusza Stradowskiego, utworzyli społeczną radę galerii. Jej podstawowym celem jest podnoszenie rangi wychowania plastycznego, wyeksponowanie walorów dydaktyczno-wychowawczych tego przedmiotu, rozbudzanie zainteresowań plastycznych nie tylko dzieci i młodzieży, ale także mieszkańców miasta.

Skarżyska galeria to jedyna tego typu placówka w województwie i jedna z nielicznych w kraju. W ciągu 10-letniej działalności jej społeczna, rada zorganizowała

kilkadziesiąt wystaw prac dzieci i młodzieży, kilkanaście — artystów-plastyków i nauczycieli-plastyków. Wystawiane tu prace są autorstwa dzieci i młodzieży nie tylko ze Skarżyska, ale z całego kraju. Ukoronowaniem tej działalności były ekspozycje prac dzieci z Japonii, Jugosławii, Węgier i Rumunii. Rada zainicjowała też kilka plenerów studentów Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej z Lublina. Studenci przekazali galerii kilkadziesiąt obrazów olejnych, a miastu — 20 rzeźb wykonanych techniką lanego betonu.

Wystawy cieszą się dużym powodzeniem. Odwiedzane są przez wycieczki szkolne, rodziców, nauczycieli oraz liczne rzesze mieszkańców miasta i okolic. W pomieszczeniach ekspozycyjnych organizowane są także lekcje wychowania plastycznego i języka polskiego oraz spotkania uczniów, nauczycieli, mieszkańców Skarżyska z wybitnymi przedstawicielami nauki i sztuki. Galeria urządziła wystawy w zakładach pracy, m. in. w Fabryce Obuwia „Fosko”, Odlewni Żeliwa „Kamienna”, Spółdzielni Pracy „Wkręta”, Spółdzielni Pracy „Skamet”, PSS „Spółem” i w wielu innych instytucjach. Ze specjalną wystawą skarżyska galeria zawiązała również do gmachu Zarządu Głównego ZNP w Warszawie.

Ostatnio ogłoszono konkurs na plakat z okazji 40-lecia PRL. Adresowany był do uczniów skarżyskich szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Uczestnicy konkursu przekazali organizatorom ponad 150 prac. Obrazują one rozwój miasta i kraju, odzwierciedlają również osobisty stosunek uczestników konkursu do odbudowy kraju. Nagrodzono 15 prac, wyróżniono także 6 nauczycieli, których podopieczni okazali się autorami najlepszych plakatów.

Radę galerii wspierają w tych inicjatywach też władze miasta, Wydział Oświaty i Wychowania. A o tym, że placówka ta przyczynia się do aktywizacji środowiska, że stała się już swoistym centrum sztuki plastycznej miasta, świadczą wymownie wpisy do „Księgi opinii”.

HENRYK GLUZA
Skarżysko-Kamienna

SPOTKANIE POD STULETNIEM KASZTANOWCEM

Wprawdzie nie pod przysłowiowym dębem, lecz pod stuletnim kasztanowcem spotkali się grudniadcy pedagodzy na zjeździe koleżeńskim zorganizowanym w lipcu br. przez Sekcję Emerytów przy Oddziale Związku Nauczycielstwa Polskiego. Uczestnikami zjazdu byli absolwenci Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Stanisława Staszica i Liceum Pedagogicznego w Grudziądzu (okresu międzywojennego: 1920—1939), które ukończyło ogółem 586 osób. W zjeździe wzięło udział 65 absolwentów seminarium, liceum pedagogicznego i państwowych kursów nauczycielskich. Gośćmi byli też absolwenci i absolwentki szkoły ćwiczeń przy seminarium. Spotkanie odbyło się z okazji 40-lecia PRL. Na zjazd przybyło również kilku absolwentów mieszkających poza granicami Polski: z Kanady, Angli i Szwecji (ten ostatni wraz z żoną — Szwedką i córką, mówiącymi nieźle po polsku).

Uczestnicy spotkania zwiedzili Grudziądz, który trudno było im poznać po 50—60 latach nieobecności, zwiedzili też okolice miasta, pola bitew z 1939 r. i 1945 r., złożyli wianki i kwiaty pod pomnikami męczénstwa i w miejscach pamięci, na grobach swych profesorów oraz kolegów. Kol. Józef Drumlowski opowiedział zebranym przy grobie kol. Jana Szmeltera o jego bohaterskiej śmierci na przedpolach Grudziądza, 1 września 1939 r., przed tablicą pamiątkową w gmachu b. seminarium odbył się też apel poległych, pomordowanych (łącznie było ich 68).

Podczas wieczornych wspomnień, a także na przyjęciu w klubie ZNP zorganizowanym przez Zarząd Oddziału naszego Związku, uczestnicy zjazdu stwierdzili, że przedwojenne seminaria nauczycielskie i licea pedagogiczne, doskonale kształciły i wszechstronnie przygotowywały pedagogów do pracy w szkole powszechnej. Wielu absolwentów seminarium i liceum w godzinie próby w 1939 r. stanęło do obrony granic, a później, tak na wschodzie jak i na zachodzie, walczyli „o wolność naszą i waszą”. Kpt. LWP A. Komendzińska przeżyła szlak bojowy od Lenino do Berlina (absolwentka szkoły ćwiczeń przy seminarium), ppik. St. Strykowski i kpt. A. Mitrega walczyli pod Monte Cassino zaś Leonard Koziński zginął podczas inwazji pod Falaise jako dowódca czołgu. A po wyzwoleniu ci, którzy przeżyli, z wielkim entuzjazmem zabrali się do pracy, nie patrząc na wynagrodzenie, zbierali meble szkolne, biały kamień na polu zamiast kredy i kształcili młodzież, uczyli analfabetów, aby jak najrychlej wyrównać zaległości z czasów międzywojennych i z czasów okupacji.

Każdy zjazd, a również i nasz, jest okazją nie tylko do wspomnień, do obejrzenia czegoś, czego się już dawno nie widzieli, lecz także do rozrachunku z sobą samym, do zastanowienia się, czy dobrze wypełniliśmy, jako nauczyciele, naszą misję nasze postępowanie. Czy dobrze służyliśmy Ojczyźnie, wychowując przed i po wojnie młode pokolenie młodzieży. Z perspektywy przebytej drogi, dziś już na emeryturze, lepiej to wszystko rozumiemy i lepiej możemy to ocenić.

W drugim dniu zjazdu, w imieniu Zarządu Oddziału ZNP kol. Wincenty Olszewski bardzo gościnnie podejmował nas w klubie związkowym „Kaganek”, a sekcja emerytów zorganizowała wystawę pamiątek szkolnych oraz efektów swej działalności, szczególnie z dziedziny sztuk plastycznych. Szybko mijający czas umiłał gościom swą grą (utwórów „retro”) zespół muzyczny sekcji emerytów.

Zabierając głos podczas tego spotkania, dwaj koledzy — jeden ze Szwecji, a drugi z Anglii — stwierdzili, że jakkolwiek mieszkają w obcym kraju i mają obce obywatelstwo, jednak uczuciowo związani są wciąż ze swą Ojczyzną, czego dowodem jest także przybycie na ten zjazd, zawsze też starają się być jej dobrymi ambasadorami.

Zegając się ze wzruszeniem uczestnicy grudniadkiego zjazdu postanowili spotkać się znów za 2 lata, w czym dopomoże Zarząd Oddziału ZNP i Sekcja Emerytów.

MARIAN MELKOWSKI
prezes Sekcji Emerytów w Grudziądzu

ILE EMERYT MOŻE ZAROBIC

Otrzymujemy ostatnio wiele listów od kolegów emerytów i rencistów z pytaniami: ile w bieżącym roku mogą zarobić, aby nie zawieszono im prawa do renty lub emerytury oraz czy zawód nauczycielski jest uważany za deficytowy, czego konsekwencją byłaby większa kwota zarobków nie powodująca zawieszenia prawa do tych świadczeń.

Emeryt lub rencista może w okresie roku kalendarzowego zarobić 100 000 złotych. Jest to dopuszczalna kwota wynagrodzenia, która nie powoduje zawieszenia prawa do emerytury lub renty, ani zmniejszenia jej wysokości.

Na stanowiskach o charakterze deficytowym dopuszczalna kwota wynagrodzenia wynosi 130 000 zł. Zawód nauczycielski nie jest uznawany za deficytowy przez wojewodów, którzy decydują o tym, które stanowiska pracy na ich terenie są deficytowe.

Sprawę wysokości dopuszczalnej kwoty wynagrodzenia reguluje rozporządzenie RM z 16 stycznia 1984 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie osiągnięcia wynagrodzenia lub innych dochodów przez osoby uprawnione do emerytury lub renty (Dz. U. nr 3 poz. 14 z 1984 r.).

PODSTAWA WYMIARU EMERYTURY W WYPADKU DODATKOWEGO ZATRUDNIENIA

Pracuję na całym etacie w szkole podstawowej i na pół etatu jako bibliotekarz w szkole zawodowej (rolniczej) przez ostatnie 3 lata. W przyszłym roku wybieram się na emeryturę. Czy wynagrodzenie, które otrzymuję za pracę w bibliotece, będzie wliczone do podstawy wymiaru emerytury? (Andrzej O. — woj. lubelskie).

Nie, albowiem do obliczenia podstawy wymiaru emerytury przyjmuje się wynagrodzenie z tytułu zatrudnienia w drugim zakładzie pracy (szkole rolnicza) tylko wówczas, jeśli dodatkowe zatrudnienie wykonywane było nieprzerwanie (warunek konieczny) co najmniej przez 5 lat w ciągu ostatnich 12 lat zatrudnienia.

POJĘCIE ZAKŁADU PRACY W SZKOLNICTWIE A EMERYTURA

Od dwóch lat mam kilka godzin matematyki w szkole zbiorczej i cały etat w mojej macierzystej szkole w sąsiedniej wsi. Czy w tej sytuacji wynagrodzenie, jakie otrzymuję za lekcje w szkole zbiorczej, wejdzie do podstawy wymiaru emerytury? (Aleksander S. — woj. katowickie).

Tak, gdyż pracuje Pan w jednym zakładzie pracy. Zgodnie ze stanowiskiem prezesa ZUS dotyczącym pojęcia zakładu pracy w szkolnictwie — praca wykonywana w jednej lub w kilku szkołach nadzorowanych przez ten sam organ i na podstawie stosunku pracy zawartego z tym organem — powinna być traktowana jako praca w jednym zakładzie pracy. I tak jest w Pana przypadku, gdzie pracodawcą był gminny dyrektor szkół.

Do podstawy wymiaru emerytury przyjmuje się wynagrodzenie za pracę, na podstawie dodatkowej umowy o pracę w niepełnym wymiarze, wypłacone pracownikowi w okresie, z którego na jego wniosek ustala się przeciętne wynagrodzenie do wymiaru świadczeń, nawet jeżeli praca na podstawie dodatkowej umowy o pracę wykonywana była w tym okresie tylko przez kilka miesięcy.

OKRES URLOPU BEZPŁATNEGO

W tym roku szkolnym przeniosłam się na stałe do męża. Niestety, nie mogę otrzymaść pracy w szkole, mimo że obiecywano mi ją jeszcze w czerwcu. Czy mogę skorzystać z urlopu bezpłatnego do momentu znalezienia pracy? (Alicja K. — woj. krakowski)

Tak. Jeżeli jest Pani nauczycielką mianowaną i wniosła Pani podanie o przeniesienie do miejscowości będącej miejscem stałego zamieszkania małżonka, a podanie to nie może być uwzględnione z powodu braku wolnych etatów — wówczas organ nadzorujący szkołę udziela urlopu bezpłatnego do lat dwóch. Jeżeli w tym czasie (2 lata) nauczyciel nie podejmie zatrudnienia — stosunek pracy ulega rozwiązaniu.

WYMIAR ZAJĘĆ A URLOP ZDROWOTNY

Przez 15 lat pracowałam na pełnym etacie, a od dwóch lat jestem zatrudniona na pół etatu. Ostatnio mój stan zdrowia pogorszył się i chciałam skorzystać z urlopu dla poratowania zdrowia. Odmówiono mi, twierdząc, że musiałabym być zatrudniona w pełnym wymiarze. Jest to dla mnie krzywdzące. Po 15 latach pracy, właśnie ze względu na stan zdrowia, prześlamię na pół etatu. (Halina J. — woj. szczecińskie).

Niestety, nie może Pani skorzystać z urlopu dla poratowania zdrowia, gdyż art. 73 Karty Nauczyciela stwierdza, że warunkiem koniecznym do uzyskania urlopu dla poratowania zdrowia jest zatrudnienie w pełnym wymiarze zajęć (w czasie starania się o urlop) oraz przepracowanie co najmniej 3 lat w szkole. (Kon.)

„Tragiczna jest historia Polski. Prawie w każdej rodzinie ktoś zginął w czasie wojny — straciło wtedy życie znacznie więcej Polaków aniżeli amerykańskich i brytyjskich żołnierzy i obywateli razem wziętych”. „Staraj się zaprzyjaźnić z polską młodzieżą. Polacy opłacają wszystkie koszty twojego pobytu — oni chcą poznać ciebie i język angielski, pomóż im w tym”. „Jeśli czegoś nie lubisz, nie rób zamieszania — bądź uprzejmy dla ludzi obsługujących cię”. „Zabierz ze sobą rzeczy, które trudno kupić w Polsce — kawę, mydło, szampon, kosmetyki do makijażu, czekoladę, kakao itd.”. „W Polsce nie chodzi się po trawnikach”. „Pamiętaj, jesteś zaproszony przez polski rząd, nie wypada więc prowokować antyrządowych dyskusji”.

KTO POJEDZIE DO ANGLII?

Tegoroczne koszalińskie spotkanie angielskiej i polskiej młodzieży ma być kontynuowane w następnych latach.

Już teraz więc umawiali się na spotkanie w Anglii. Nie wszyscy jednak polscy uczniowie tam pojedą, tylko czterdziestka. Angielsko-polska rada pedagogiczna ustaliła, że wszyscy powinni mieć równe szanse, każdy więc uczeń napisał podanie, w którym uzasadnił — po polsku lub angielsku tak, jak potrafił, dlaczego chce jechać. Potem odbyły się rozmowy z kandydatami, które przeprowadziła mieszana komisja nauczycielska. Co ciekawe, decydowała nie tyle znajomość języka, ile motywacja i zaangażowanie na koszalińskim obozie, umiejętność współzycia w zespole itd. W ten sposób powstała lista, którą — wraz z odpowiednim uzasadnieniem przedłożono kuratorowi oświaty i wychowania w Koszalinie. Państwo Francombowie mają nadzieję, że ich propozycje będą uznane. No, cóż, oby tak faktycznie było, bo trzeba przyznać, że trudno o sprawiedliwszy, a jednocześnie bardziej demokratyczny sposób naboru kandydatów na ten atrakcyjny wyjazd.

Zakwalifikowana młodzież przez cały rok prowadzić będzie korespondencję ze swoimi angielskimi rówieśnikami, wymieniane będą pamiętki, upominki itd. Angielscy nauczyciele zaś przygotowują z pomocą Oli skrypty i minisłowniki do nauki obu języków.

Kto będzie utrzymywać polską młodzież w Anglii? Toni liczy na fundusze z British Council oraz na angielskie rodziny, u których część uczestników obozu będzie mieszkać — pozostali będą zakwaterowani w internacie. Uczniowie angielscy zorganizują też różnego rodzaju zabawy i inne imprezy dochodowe. Ale już teraz Toni

przewiduje, że młodzież polska stanie zapewne przed alternatywą: więcej i to dłuższych wycieczek po Anglii czy też mniej zwiedzania, ale za to większe kieszonkowe. Ciekawe, co wybiorą...

REFLEKSJE

Każda następna godzina spędzona na tym oryginalnym obozie, każda kolejna rozmowa i wizyta w poszczególnych grupach — utwierdzały mnie w tym, jak bardzo pożyteczna i wartościowa jest inicjatywa państwa Francombów. Dobrze więc się stało, że nasze władze pomysł ten podchwyciły, że nie żalowano pieniędzy i starań, aby go zrealizować. Grupę angielskich nauczycieli i uczniów gościł prezydent Koszala Stanisław Mazur, odbierając przywilejowane przez Francombów listy z pozdrowieniami przekazanymi z Downing Street (tak, tak od Pani Thatcher) oraz przez liderów pozostałych partii politycznych. Kurator Statkiewicz osobiście doglądał wszystkich spraw związanych z organizacją obozu, nie więc dziwnego, że zarówno angielscy, jak i polscy nauczyciele chwalili sobie współpracę z wojewódzkimi władzami oświatowymi.

Są zatem warunki po temu, aby tegoroczne spotkanie młodzieży Koszalina i Milton Keynes zapoczątkowało stopniowo współpracę obu miast w różnych dziedzinach. Ale to już dalsza perspektywa. Na dziś można tylko się cieszyć ze zbliżenia młodych Polaków i Anglików. Zbliżenia, które w pierwszej chwili przyniosło zaszkoczenie pewną odmiernością od stereotypowych wyobrażeń, ale potem przerodziło się w sympatię i przyjaźń. A także podzielić się refleksją, tak głęboką jak ta, którą usłyszałem przy pożegnaniu od Nicka — „To straszne, gdy pomyśle, że w razie wojny byłibyśmy po różnych stronach...”.

LECHOSŁAW GAWRECKI

UWAGA! MATURZYŚCI Z WIELUNIA

W maju 1985 r., w związku z 30 rocznicą ukończenia Państwowego Liceum Pedagogicznego w Wieluniu, pragniemy zorganizować zjazd koleżeński maturzystów z 1955 r. Ponieważ nie znamy obecnych adresów Koleżanek i Kolegów, uprzejmie prosimy o kontakt w tej sprawie z kol. dr. Tadeuszem Olejnikiem, 98-300 Wieluń, ul. Narutowicza 13 (Muzeum).

SZACH KRÓLOWI

O MISTRZOSTWO ŚWIATA

10 września 1984 r., w Sali Kolumnowej Domu Związków w Moskwie, rozpoczął się wielki mecz o mistrzostwo świata w szachach.

Zastąpił naprzeciw siebie dwaj bezsprzecznie najlepsi obecnie szachiści świata, 33-letni Anatolij Karpow i 21-letni Garri Kasparow. Cały świat szachowy śledzi z napięciem przebieg tego pojedynku. Kto będzie zwycięzcą? Czy trzykrotny mistrz A. Karpow, który dźierży berło mistrzowskie nieprzerwanie od 1975 r. czy młodszy Garrik, zdobywca szachowego Oscara za 1983 r.

Zapewne czytelników interesuje, jaki jest dotychczasowy bezpośredni wynik spotkań między tymi radzieckimi arcymistrzami i czy w ogóle grali do tej pory ze sobą? Nie jest to bynajmniej pytanie retoryczne, gdyż pamiętamy, że w 1960 r. w meczu o mistrzostwo świata spotkali się również dwaj radzieccy arcymistrzowie, 49-letni wówczas Michail Botwinnik i 24-letni Michail Tal, nie grający ze sobą wcześniej ani jednej partii. Obecni bohaterowie meczu spotkali się do tej pory tylko 4 razy. Jedną partię w 1979 r. wygrał dość szczęśliwie Karpow, a pozostałe trzy, rozegrane w 1981 r. zakończyły się remisami.

Oto dwie ostatnie partie rozegrane między nimi w 1981 r.

A. Karpow — G. Kasparow

1. d4 Sf6 2. Sc3 e5 3. Sf3 e6 4. g3 b6 5. Gg2 Gb7 6. 0-0 Ge7 7. c4 cd4:8. Hd4:d8 9. Gg5 a6 10. Gf6: Gf6 11. Hf4 0-0 12. Wfd1 Ge7 13. Se4 Ge4: 14. He4: Wa7 15. Sd4 Hc8 16. b3 We8 17. a4 Hc5 18. Wa2 Gf6 19. Wad2 We7 20. Hb1 Ge7 21. b4 Hb5 22. Wc2 Wee8 23. b5 ab5: 24. ab5: Wc4: 25. Wc4: Wc4 26. Ha2 Hc5 27. Ha8 Wd4: 28. Hb3: + Gf8 29. Wa1 d5 30. Gf1 Wc4 31. Wa8 Wc1 32. He8 d4 33. Wa7 Hc5 34. Wa8 Hc5 35. g4 Hd6 36. Wd8 Hb4 37. Wd7 h6 38. Hf7: + Kh7 39. g5 Hb1 40. g6+ Hg6: + 41. Hg6: Kg6: remis

G. Kasparow — A. Karpow

1. d4 Sf6 2. c4 e6 3. Sf3 d5 4. Sc3 Ge7 5. Gg5 H6 6. Gf6: Gf6 7. e3 0-0 8. Hd2 Sc6 9. cd5: ed5: 10. Gg2 Gf5 11. 0-0 Se7 12. b4 c6 13. Wc1 a6 14. a4 Hd6 15. Hb2 Wf8 16. Hb3 Sg6 17. Wa2 Ge7 18. b5 i remis.

Moim faworytem w tym meczu jest Kasparow. Po pierwsze, dlatego, że łatwiej zdobywać po raz pierwszy tytuł, niż go bronić. Atakujący nie ma nic do stracenia, ma lepszą dyspozycję psychiczną, a broniący, przegrywając, traci nie tylko pieniądze, ale i prestiż. Po drugie, od chwili rezygnacji M. Botwinnika z obrony tytułu mistrza świata i jego abdykacji, młodszy pretendent zazwyczaj zdobywał mistrzostwo. Na przykład: 1960 r. — M. Botwinnik 49 lat — M. Tal 24 lata — wygrał Tal

1963 r. — M. Botwinnik 52 lata — T. Petrosjan 33 lata — wygrał Petrosjan. 1969 . — B. Spasski 32 lata — T. Petrosjan 39 lat — wygrał Spasski.

1972 r. B. Fischer 29 lat — B. Spasski 35 lat — wygrał Fischer.

1978 r. — A. Karpow 27 lat — W. Korcznoj 46 lat — wygrał Karpow.

1981 r. — A. Karpow 30 lat — W. Korcznoj 49 lat — wygrał Karpow.

Taka jest prognoza, ale jak będzie, dowiemy się dopiero za parę tygodni lub miesięcy. Mecz toczy się bowiem do sześciu wygranych partii, remisy się nie liczą, a ilość granych partii jest nieograniczona.

Ostatnio zaobserwowano, iż Karpow, grający do tej pory pozycyjnie, technicznie, bez wielkich fajerwerków i romantycznych ataków, ale za to nadzwyczaj skutecznie, wykazuje tendencję do gry bardziej kombinacyjnej niż pozycyjnej, a dla odmiany jego rywal, holdujący dotychczas grze otwartej, agresywnej i kombinacyjnej, przedstawia się na grę pozycyjną, techniczną.

Który styl będzie efektywniejszy, kto lepiej wytrzyma ten mecz kondycyjnie i psychicznie? Nikogo ze znawców przedmiotu nie dziwi fakt, że dwaj radzieccy szachiści — a nie inni — walczą o najwyższy tytuł szachowy. Na 9 milionów szachistów z całego świata, zarejestrowanych w Międzynarodowej Federacji Szachowej, 4 miliony przypada na Związek Radziecki. Te dwie liczby najlepiej świadczą o potęgę i wielkim zapleczu radzieckich szachów. O tej przewadze świadczą również dwa mecze, jakie dotychczas rozegrano między reprezentacją Związku Radzieckiego a resztą świata, w obu wypadkach zakończone zwycięstwem ZSRR.

W tym miejscu nasuwa nam się refleksja na temat miejsca polskich szachów w hierarchii światowej. Od czasów wielkiego Akiby Rubinstajna (początek XX wieku) do tej pory nasi szachiści nie zanotowali znaczących sukcesów na arenie międzynarodowej. W konkurencji indywidualnej zanotowaliśmy jedynie wielki sukces naszej rodaczki Reginy Gerleckiej, która w 1935 r. zdobyła wicemistrzostwo świata kobiet. Dodac należy, że zmarła przed rokiem R. Gerlecka była nauczycielką akademicką.

W ostatnich czterech latach daje się zaobserwować znaczny wzrost zainteresowania szachami wśród naszej młodzieży. Ranga szachów młodzieżowych na pewno wzrosła między innymi dlatego, że znalazły się one, jako równoprawna, punktowana dyscyplina wśród wielu innych sportów w Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży. Może więc nadejdzie taki czas, że wśród naszej młodzieży szachowej objawi się wielki talent na miarę Garrika Kasparowa.

BOGDAN KUSIŃSKI

STANISŁAW STRUVE

Zmarł w wieku 82 lat kol. Stanisław Struve, długoletni nauczyciel szkół podstawowych i zawodowych, a w latach 1945-1967 wizytator i naczelnik w DOSZ Gdańsk, CUZ i w Ministerstwie Oświaty, ceniony znawca problematyki szkolnictwa zawodowego, m.in. praktycznej nauki zawodu.

Jako nauczyciel szkoły podstawowej w Szymanowie w latach 1923-1945 osiągnął nieprzeciętne wyniki w pracy pedagogicznej, a także społecznej.

Przez 44-letni okres pracy pedagogicznej był aktywnym działaczem ZNP. Pełnił — m.in. funkcję prezesa Ogniska ZNP w Szymanowie. Także jako emeryt działał w Kole Emerytów ZNP przy Ministerstwie Oświaty, patronując tam budowie Domu Spokojnej Starości dla nauczycieli.

Kolega Stanisław Struve, członek ZSL od 1948 r., był urodzonym społecznikiem. Pełnił w Szymanowie funkcje przewodniczącego Komitetu Samopomocy Społecznej. W okresie okupacji działał na tym terenie z ramienia Rady Głównej Opiekuńczej, organizując pomoc dla wysiedlonych, poszkodowanych wskutek działań wojennych, a w szczególności dla uchodźców z Warszawy, z obozu w Pruszkowie po upadku Powstania Warszawskiego.

Był nie tylko wybitnym pedagogiem, ale także, utalentowanym twórcą dokumentacji programowej szkół zawodowych.

W uznaniu zasług w pracy zawodowej i społecznej odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Złotą Odznaką ZNP.

Odszedł od nas ceniony, utalentowany Kolega, zasłużony nauczyciel i wychowawca.

Cześć Jego Pamięci!

KOLEDZY

TYGODNIK ODZNACZONY



ZŁOTA ODZNAKA ZNP



MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ



KRZYŻEM ZA ZASŁUGI DLA ZHP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Maria Kalińska (zastępca sekretarza redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Jerzy Krasiński (kierownik działu), Walentyna Lapińska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Bożena Niedziulka, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Saliński, Wojciech Sierakowski, Halina Szymczak (kierownik działu), Henryka Wjalewska (kierownik działu), Zdzisław Nowak, Jan Rocki (redaktorzy graficzni), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Irena Kościelniak, Magdalena Makar.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 8/8, 00-389 Warszawa, Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-80. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy też sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86, 02-017 Warszawa. Nakład 70 000 egz. PŁ ISSN 0017-1263 NR INDEKSU 35923 T-34

SPOJRZENIA

SASKIA JAKO FLORA I ZŁOTE LWY

Ledwo zaczął się wrzesień, a już co najmniej kilka prawdziwych wydarzeń artystycznych. W Warszawskim Muzeum Narodowym — „Rembrandt i jego uczniowie”, w Zachęcie — „dziewięć i dziesiąte” zarazem Międzynarodowe Biennale Plakatu, w Gdańsku — festiwal naszych filmów, w Wenecji — „Złoty Lew” dla Zanussiego...

Jak na kilka zaledwie dni, wrażeń i imprez o najwyższej randze być może, nawet odrobinkę za wiele. Ale czy może być kiedykolwiek za wiele dobrego, no i rzecz jasna, pięknego? Bo choć kategoria piękna bardzo różnie jest dziś pojmowana, choć współczesna sztuka nie chadza na ogół z nim w parze, to przecież — przynajmniej w znaczeniu umownym i metaforycznym — nie straciło ono chyba nic ze swej wartości. Zresztą fakt, iż tak często słyszy się, że piękna coraz mniej wśród nas, że tęsknimy za nim tak bardzo, choć nie zawsze mamy odwagę przyznać się do tego, mówi najlepiej sam za siebie.

I oto Muzeum Narodowe sprawiło nam nie lada ucztę duchową. Na otwartej właśnie wystawie możemy delektować się do woli płótnami wielkiego Holendra, zdobiącymi na co dzień leningradzki Ermitaż — i dumać o życiu, sztuce i owej szczególnej radości, jaką może nam ona sprawić. A „Flora” — ów zdumiewający portret Saskii jako bogini wiosny i kwiatów, sprzyja znakomicie takim refleksjom. Podobnie jak inne dzieła autora „Straży nocnej”, na przykład wspaniałe ryciny „Zwiastowanie pasterzom” i „Trzy drzewa”.

Przy okazji warto przypomnieć, że po raz pierwszy dzieła Rembrandta z leningradzkich zbiorów oglądaliśmy w Polsce w 1956 roku na wystawie upamiętniającej 350 rocznicę urodzin artysty, a także to, że polskie muzea chlubią się dwoma płótnami wielkiego mistrza światłocieni — „Portretem Martena Soolmansa” i „Miłosiernym Samarytaninem” oraz sporą liczbą jego rycin.

Tymczasem w Gdańsku zakończył się, oczekiwany z dużym zainteresowaniem, Festiwal Polskich Filmów Fabularnych i wręczono Złote i Srebrne Lwy Gdań-

skie. Niestety, żaden z nich nie przypadł filmowi, który podejmowałby trudne problemy etyczne i moralne współczesności, kwestie, które najbardziej dziś w pierwszej połowie lat 80-ych, polską widownię intrygują i niepokoją. Po prostu nie ma takich filmów. A jeśli są, nie mogą nikogo naprawdę poruszyć z racji powierzchowności, pretensjonalności czy też zwykłej niedolności.

Więc jakkolwiek cieszy niewątpliwie fakt, iż najwyższe trofea tegorocznego festiwalu w Gdańsku przypadły filmom ukazującym los żołnierzy przemijającego i w oryginalnej poetyce, bo takimi dziełami są bez wątpienia — choć każde w zupełnie inny sposób — „Austeria” Jerzego Kawalerowicza i „Gwiezdny pył” Andrzeja Kondratiuka, to przecież nie da się ukryć, że tęsknimy najbardziej za filmami współczesnymi, takimi, które odkrywają przed nami radość i dramatyczne dylematy naszych dni.

Ale choć sami nie jesteśmy ukontentowani dostatecznie dorobkiem ostatnich kilku lat naszej kinematografii, nie jest pewnie z nią tak najgorzej, skoro polski film zdobywa właśnie (w przeddzień inauguracji festiwalu gdańskiego) wielki laur międzynarodowy. „Złoty Lew” dla Krzysztofa Zanussiego na 41 Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji za „Rok spokojnego słońca” ma tym większy ciężar gatunkowy, że jury przewodniczył sam Michelangelo Antonioni, a członkami byli m. in. artyści tej miary, co Jewtuszenko, Grass oraz bracia Taviani.

Nie widziałem jeszcze tego filmu o rozpaczliwej miłości Polki i Amerykanki, którzy przeżyli piekło wojny, filmu o nadziei i miłości, wbrew wszystkiemu i wszystkim — jak to wynika z relacji tych, którzy poznali już najnowszy utwór Zanussiego. Czy tak jest w istocie, czy rzeczywiście bohaterom Zanussiego udało się przeciwstawić zwycięsko koszarowi historii i uratować — mimo wszystko — nadzieję, przekonamy się, gdy „Rok spokojnego słońca” pojawi się na ekranach.

Tymczasem zaś pędźmy co tchu na „Austerię” i „Konopielkę” (bo „Seksmisję” pewnie już wszyscy zdążyliśmy obejrzeć), by przekonać się, jak trafną decyzję podjęło tym razem gdańskie jury.

HENRYKA WITALEWSKA

W BELWEDERZE O „DZIADACH”

17 października 1948 roku w Belwederze u prezydenta Bieruta spotkanie na temat wprowadzenia na scenę „Dziadów”. Udział w spotkaniu wzięli m.in. Schiller, Pronaszko, Jastrun. Nie uczestniczył Szymanowski, chociaż już od kilku miesięcy przygotowywał się do tej premiery. Wnioski z narady były jednak dla „Dziadów” niepomysłne, choć zbliżał się Rok Mickiewiczowski. Warto tu przypomnieć również wspomnienie Sokorskiego: „Przypomnijmy, że chodziło o sezon 1948/49 i kryteria realizmu socjalistycznego zaczynały obowiązywać w coraz silniejszym stopniu. Leon (Schiller) wprawdzie nie miał wątpliwości, że jego teatr, a zwłaszcza ten po-

lityczny, mieścił się w konwencji realistycznej. Tak było zresztą w istocie. Obawy i trudności zaczynały się dopiero przy interpretacji teatru romantycznego i, rzecz prosta, neoromantycznego oraz jego stosunku do warsztatu realistycznego. I chociaż Schiller, wiedziony niezawodnym instynktem, odwoływał się do wielkiej klasyki radzieckiej i teatru Brechta oraz Piscatora, ówczesne uproszczone pojmowanie konwencji realistycznej w gruncie rzeczy opartej na schemacie mieszczańskiego teatru okresu pozytywizmu, zniechęconego przez Schillera, utrudniało wielkiemu inscenizatorowi sceny politycznej odnalezienie się w aktualnym nurcie. Burczał więc i marudził. Namawiał mnie, żeby z „Dziadami” pójść do Bieruta, z czego, jak wiemy, niewiele wyszło...”

(Fragment ósmego odcinka, bardzo interesującego cytowanego już w „Magazynie” cyklu „Życie teatralne w Polsce Ludowej”, „Teatr” nr 8/84)

MONIKA VITTI O ŁZACH, ŚMIECHU I MARZENIACH

(...) Zanim poznałam Antonioniego byłam już aktorką teatralną, odnoszącą sukcesy w komediach. I w ciągu wielu lat współpracy z nim tęskniłam za komedią, wodewilem, żywiołowym śmiechem publiczności. Klasyczne i współczesne komedie włoskie — na scenie i na ekranie — zbliżyły mnie do tzw. szerokiej widowni. Zresztą komedie

włoskie (...) znane są i lubiane na całym świecie. Należy to docenić. Przecież wiadomo, że łatwiej widza zmusić do łez aniżeli do śmiechu. Tu nie chodzi tylko o zabawne sytuacje, ale i o przemiany charakterów, o solidne podłoże psychologiczne.

(...) Może się to wyda nieprawdopodobne, ale jako widz jestem na pozio-

MUZEJA ZAPRASZAJĄ

SZTUKA AZJI I PACYFIKU

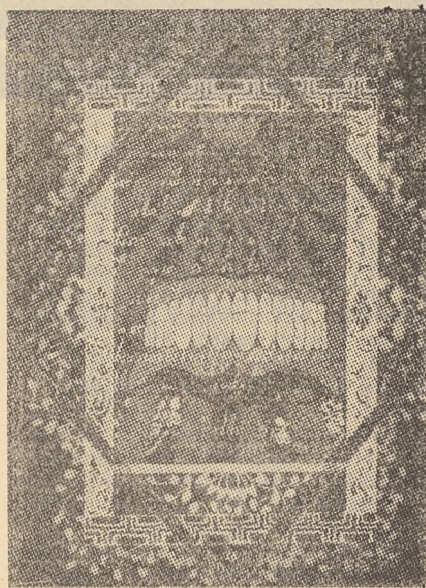
Związki z filozofią i religią hinduizmu, islamu, buddyzmu, posmak egzotyki — przydały sztuce azjatyckiej szczególnych walorów. Niewiele jednak mamy okazji do tego, aby się z tą sztuką bezpośrednio zetknąć.

Warszawskie Muzeum Azji i Pacyfiku, przemianowane z powołanego w 1973 r. Muzeum Archipelagu Nusantara (Nusantara — wyspy pomiędzy Azją a Australią tworzące region kulturowy wpływów malajskich) wychodzi tym pragnieniom naprzeciw. Wystawy odbywały się początkowo w wynajmowanych pomieszczeniach. Dopiero od 1978 roku muzeum zyskało własną galerię zwaną „Nusantara”, mieszczącą się w centrum stolicy, przy ulicy Nowogrodzkiej 18a.

Pomieszczeń wprawdzie niewiele, ale częstotliwość zmieniających się wystaw pozwala na obejrzenie różnorodnych eksponatów i dzieł sztuki. Możemy tu więc zobaczyć zarówno fragment pokrytego pismem klinowym oryginalnego muru z IX wieku p.n.e., pochodzącego z pałacu królewskiego w Nimrud, jak i malarstwo współcześnie tworzących artystów Indonezji, Indii, Bangladeszu. Na pewno zachwyci nas sztuka porcelanowych przedmiotów codziennego użytku wykonanych w Chinach. Noże rytualne, kaganki oliwne, naczynia ze starożytnej Palestyny przybliżą nam czasy króla Salomona, słynnego protektora literatury i sztuki. Chińskie, mongolskie, indyjskie, kampuczańskie, malajskie posążki bóstw przywołują dawne, religijne obrzędy tych ludów.

Jest i stara biżuteria. Głównie mongolska z XVIII-XIX wieku. Ciężkie, misternie zdobione srebrne zausznice, brosze, wisiory, pasy, ozdoby, których przeznaczenia z uwagi na pokaźną wagę i wielkość, niełatwo nam się domyśleć bez spojrzenia w muzealną metryczkę.

Na szczególną uwagę zasługują rzeźby z kamienia, drewna i brązu, XIX-



-wieczne malarstwo ze świątyni na Bali, bogata kolekcja białej broni. Szczególne zainteresowanie budzą maski rytualne, których muzeum zgromadziło przeszło 500, a także ekspozycje z klasycznego teatru jawańskiego.

Oprócz wystawienniczej, Muzeum Azji i Pacyfiku prowadzi również różnorodną działalność popularyzatorską. Organizuje spotkania z polskimi i zagranicznymi dziennikarzami, podróżnikami, naukowcami zajmującymi się kulturą tych części świata. Zainicjowało centralną bibliotekę azjatycką, którą uzupełnia mikrofilmami trudno osiągalnych publikacji, znajdujących się w polskich księgozbiorach publicznych i prywatnych.

Muzeum Azji i Pacyfiku wystawia swe zbiory nie tylko w galerii „Nusantara” (do końca października trwać w niej będzie pokaz najciekawszych eksponatów oraz dokumentacji fotograficznej, ze zorganizowanych dotychczas wystaw), ale także w innych placówkach kulturalnych stolicy. Ostatnio w Galerii Pracowni Konserwacji Zabytków na Podwalu możemy obejrzeć wystawę współczesnej grafiki wietnamskiej, a w Galerii „Sciana Wschodnia” przy ul. Marszałkowskiej — rysunki i grafikę plastyków z Indonezji, Indii i Bangladeszu.

BOŻENA NIEDZIULKA

WYBRANE Z KSIĘGARSKIEJ LADY

SZYMANOWSKI, BACH, CHOPIN,

Pojawił się w cyklu „Dzieł” Jarosława Iwaszkiewicza kolejny tom „Pisma muzyczne”. Książka ta pozwala nam obcować z takimi potentatami muzyki, jak Karol Szymanowski, Jan Sebastian Bach, Fryderyk Chopin. Doskonała orientacja autora w dziwnych tajnikach i niezwykłych urokach muzycznych służy poznaniu praw, będących źródłem twórczości kompozytorskiej.

W trzech rozdziałach, poświęconych Szymanowskiemu, poznajemy postać kompozytora, jego sposób tworzenia, siłę talentu. Nie brak w tych spotkaniach z wielkim Karolem szczegółów, barwnych, niecodziennych anegdot. Znakoomitego kompozytora oglądamy w największych ośrodkach muzycznych w kraju i za granicą, w Atnie, w miejscowościach kuracyjnych, w towarzystwie.

W kolejnym rozdziale poznajemy Jana Sebastiana Bacha, niepospolitego organistę, twórcę muzyki niesmiertelnej w swoich kształtach. Na tle skomplikowanych dzieł Niemiec w drugiej połowie XVII wieku, wśród zmiennych losów życia kompozytora i jego rodziny, obcujemy z tym muzycznym geniuszem. Iwaszkiewicz nazywa go „ożywczym źródłem, w którym szukali siły najwybitniejsi twórcy XIX i XX wieku. Chopin, Wagner, Strauss, Strawiński...” (str. 149). Autor zapoznaje nas z osobowością kompozytora — ludzką, prostolinijną, bezpośrednią i naturalną.

Trzecim bohaterem „Pism muzycznych” jest Fryderyk Chopin. Iwaszkiewicz zakochany jest w spuściźnie twórczej Fryderyka, który ukazał światu bogactwo polskich motywów ludowych. Poznajemy Chopina od dzieciństwa, po trudną i ciężką śmierć. „Muzyka (Chopina) żyje z nami — czytamy w zakończeniu — i walczy wraz z nami. Jest tęczowym mostem między Polską a światem. Jest tego świata ozdobą i wartością. Świat nam ten tłumaczy i wyjaśnia, jak każda wielka sztuka. A sztuka Chopina to nasza największa sztuka”.

PAWEŁ BAGIŃSKI

Jarosław Iwaszkiewicz: „Pisma muzyczne” Czytelnik, Warszawa 1983, str. 529.

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE

Przed Plenum Zarządu Głównego ZNP podejmujemy problemy edukacji narodowej.

Znajdziecie w nim wywiady, publicystykę, wypowiedzi.

mie ośmioletniej dziewczynki. Chowam się, staram się nie patrzeć na okrucieństwo. Przeraza mnie krew. Wierzę we wszystko, co dzieje się na ekranie. Mogę więc powiedzieć, że jestem widzem idealnym.

(...) Marzę o roli, jaką zagrałam chyba dwadzieścia lat temu w sztuce Arthura Millera „Po upadku”. Ostatnio w teatrze telewizji wystąpiłam w „Mewie” Czechowa. Roberto Russo zrealizował niedawno czteroczęściowy serial telewizyjny pt. „Coś o Monice”, wykorzystując w nim fragmenty moich ról.

(Monika Vitti w wywiadzie dla „Ekranu” „Ekran” nr 38/84).